

ŻYCIE GOSPODARCZE

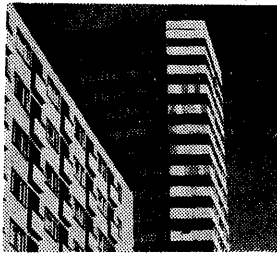
TYGODNIK SPOŁECZNO-GOSPODARCZY

CENA 4 ZŁ

GÓRNICY WKROCZYLI NA LUBELSZCZYNĘ

ANNA RADCAK

str. 1



PO RAZ PIERWSZY ĆWIERĆ MILIONA MIESZKAŃ

TADEUSZ ŻARSKI str. 10



Wrażliwość społeczna jest warunkiem racjonalnego kształtowania środowiska

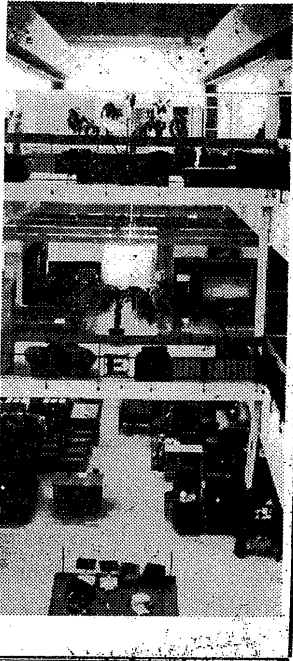
Rozmowa z wiceministrem CZESŁAWEM KOTEŁĄ

str. 5

MEBLI WIĘCEJ, ALE WCIAŻ ZA MAŁO

ANNA SZYMAŃSKA

str. 1



KREDYT W ROLNICTWIE

TADEUSZ WYSZOMIRSKI

str. 6



ZE SPÓŹNIONEGO POCIĄGU GONI SIĘ DO MASZYN...

JERZY DZIĘCIOŁOWSKI

str. 7

LEN JEST NASZYM MOCNYM ATUTEM

WŁODZIMIERZ KILANOWSKI

str. 8

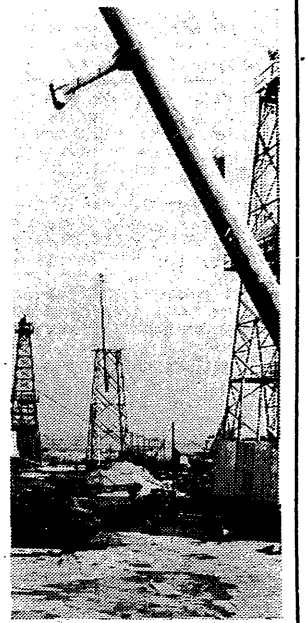
BARBARA WIŚNIEWSKA

str. 9



Transport samochodowy czeka na zmiany organizacyjne

ADAM SZEWCZUK str. 8



LUBELSKIE ZAGŁĘBIE NA STARCIE

ANNA RADCAK

Lubelskie Zagłębie Węglowe przestało już być pojęciem geologicznym, miejscem wypunktowanym na czarnej mapie zasobów surowcowych kraju. 9 stycznia br. Biuro Polityczne KC PZPR zaakceptowało propozycję Rządu o rozpoczęciu eksploatacji złóż węgla w województwie lubelskim. Kilka miesięcy wcześniej na polach między wsią Puchaczów a Bogdanką, w odległości niecałych 30 km od centrum Lublina, wyrosły wieże urządzeń wiertniczych Przedsiębiorstwa Poszukiwań Naftowych z Wołomina, które prowadzi prace badawcze w celu dokładnego rozeznania warunków hydrogeologicznych w bezpośrednim sąsiedztwie głównych, szybów kopalni pilotująco-wydobywczej.

OD STYCZNIA począwszy, ważne decyzje zapadają jedno po drugim. 16 stycznia powołano przedsiębiorstwo — KOPALNIE LUBELSKIEGO ZAGŁĘBIA WĘGLOWEGO W BUDOWIE, z siedzibą w Lublinie. Egzekutywa KW PZPR zatwierdziła dyrektora przedsiębiorstwa. Naczelnym dyrektorem został mgr inż. ALEKSANDER BĄCZYŃSKI, dotychczasowy zastępca dyrektora do spraw technicznych w Zjednoczeniu Budownictwa Górniczego w Katowicach, mający za sobą m. in. budowę kopalni węgla w Indach. Jego zastępcą do spraw technicznych mianowano mgr inż. ZDZISŁAWA MARCZAKA, pełniącego ostatnio funkcję głównego projektanta LZW w Biurze Studiów i Projektów Górniczych w Katowicach, wcześniej dyrektora kopalni „Miłowice”.

Równocześnie weszła w życie decyzja Rządu o budowie pierwszego etapu kopalni pilotującej w centralnym rejonie Lubelskiego Zagłębia Węglowego Kopalnia ta, stanowiąca część systemu zagospodarowania rejonu, ma potwierdzić dane uzyska-

ne z badań geologicznych. Koszt przedsięwzięcia — czyli budowy dwóch szybów i około 3 km chodników w pokładach węgla — wyniesie ma 1 mld zł z czego na rok bieżący przeznaczono ok. 300 mln zł.

W roku 1977 pierwsze tony „urobku” powinny znaleźć się na powierzchni. W Łęcznej przystąpiono do budowy zaplecza mieszkająco-socjalnego dla pierwszych górników: 120 mieszkań i hotelu na 600 miejsc wraz ze stołówką.

Od początku przyjęto ostre, ścisłe śląskie tempo. Wołomińscy nauczyciele i ekipy przedsiębiorstwa „Naftomontaż” z Krosna przysięgli z pomocą górnikom budującymi tzw. płyty mroźniowe, betonowe fundamenty pod ciężkie aparaty wiertnicze do wiercenia otworów mroźniowych. Okazało się bowiem, że w górnych warstwach nakładu (czwartorzęd, kreda) występuje kurzuwka oraz silnie nawodnione pokłady kredy. Aby przystąpić do głębienia szybów kopalni, niezbędne jest scalenie (przez zamrożenie) tych warstw gruntu do głębokości ok. 160 metrów.

Ostatnie meldunki z placu budowy mówią o znacznym wyprzedzeniu terminów harmonogramu tych prac przygotowawczych. Zmontowano już sześć urządzeń wiertniczych do głębienia otworów mroźniowych, pierwsze z nich rozpoczęły pracę. Wkrótce ekipy specjalistów ze Śląska przystąpią do montażu wież szybów oraz maszyn i sprzętu do głębienia szybów Według planu, głębienie szybów nastąpić ma w połowie bieżącego roku. Jednakże biorąc pod uwagę przyspieszenie prac przygotowawczych, można się liczyć z terminem wcześniejszym.

Hasło — „węgiel” — działa na Lubelszczyźnie jak czarodziejskie zaklęcie. Ekipy lubelskiego „Wodrołu” wykonujące niwelację terenu kopalni, sieć kanalizacyjną, ujęcie i doprowadzenie wody pitnej oraz osadniki wód dołowych, w szybkim tempie realizują swoje zadania. Drogowcy z Woj. Zarządu Dróg Lokalnych także obiecują przedterminowo wybudować 6 km dróg stałych i place składowe w kopalni. Nawet deficytowy żwir i pospółka znalazły się na budowie w przewidzianym terminie i w potrzebnej ilości.

WYKORZYSTANE MOŻLIWOŚCI

Tak wygląda dzień dzisiejszy Lubelskiego Zagłębia Węglowego, te-razniejszość, na którą czekano równo 10 lat. Siegnijmy w tym miejscu do historii. W marcu 1966 roku ówczesny prezes Centralnego Urzędu Geologicznego doc. MIECYSŁAW MROZOWSKI w wywiadzie udzielonym przedstawicielowi PAP powiedział: „Prace Instytutu Geologicznego prowadzone przed kilku laty w tym rejonie wykazywały obecność warstwy tzw. karbonu produktywnego, w której to formacji geologicznej występują największe na świecie złoża węgla kamiennego.” W ten sposób opinia publiczna po raz pierwszy została poinformowana o możliwościach surowcowych Lubelszczyzny. Geolodzy jednak dużo wcześniej liczyli się z realnością takiej hipotezy. Historia odkryć geologicznych w pasie nadbużańskim sięga lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia. O wystąpieniu złóż karbonu na Wołyniu (100 km na wschód od Bugu) pisał już w 1881 roku geolog W. Chroszczeński. Nowsze dzieje poszukiwań węgla wiąże się z nazwiskiem prof. JANA SAMSONOWICZA. Polski geolog prowadząc prace poszukiwawcze w dolinie Bugu w roku 1922, zwrócił uwagę na czarne kamienie z fauną charakterystyczną dla okresu zwanego w geologii karbonem. W kilka lat później prof. Samsonowicz ogłosił pracę naukową na temat przypuszczalnego występowania kar-

DOKOŃCZENIE NA STR. 2

APETYT NA MEBLE

ANNA SZYMAŃSKA

Jeszcze w 1971 roku panowało przekonanie, że mebli mamy w bród, a rynek jest nasycony. Tymczasem już w następnym roku na meble przypuszczono szturm. I okazało się, że mebli jest niestety za mało, aby sprostać temu nagłemu zapotrzebowaniu.

DWIE były jego przyczyny. Przede wszystkim wzrosły realne dochody ludności, które w porównaniu z 1970 rokiem były wyższe o około 121 mld, czyli prawie o 23 proc. Według obliczeń GUS, wydatki na zakup artykułów służących do urządzenia mieszkania skoczyły w górę o 90 proc., w tym na meble również o 90 procent. Powiększyły się dochody, ale było już i gdzie się meblować. Impuls przyszedł z budownictwa, które wyraźnie zwiększało tempo. Przybywało mieszkań, wzrastały meblowe apetyty.

Napór na meblowy rynek trwa do tej pory. O tym, że nie byliśmy zorientowani, jak jest on pojemny, jak wielkie są te nasze meblowe apetyty, świadczy fakt, że jeszcze w 1972 roku zgłaszane przez handel potrzeby były niższe o 3 do 5 mld od wartości dostaw, które znalazły się w końcu na rynku i okazały się niewystarczające. Meblują się nie tylko ci, którzy otrzymują mieszkania, ale i ci, którzy już je mają. Pozbywają się starych gratów albo nie całkiem starych, ale w ich odczuciu — nieładnych, niemodnych i kupują nowe. Potwierdzają to badania przeprowadzone przez handel w sklepach i komisach meblowych, że popyt restytucyjny odgrywa już i odgrywać będzie coraz większą rolę przy zakupach mebli. Ostatnie, wspólne badania ankietowe GUS i Instytutu Finansów, dotyczące oszczędzania i kredytowania gospodarstw domowych, wykazują ponadto, że znaczny procent rodzin oszczędza właśnie na meble.

MEBLI WIĘCEJ, A JEDNAK ZA MAŁO

Obok artykułów żywnościowych i ubraniowych, meble stały się więc najczęściej poszukiwanym wyrobem. A jako prasowy temat zdystansowały nawet niektóre wielkie inwestycje. O meblach piszemy bowiem cią-

gle, na ogół jednak w tonacji minorowej. Nie tylko dlatego, że mebli jeszcze brakuje, że trzeba na nie „polować”, choć na rynku znajduje się ich dzisiaj więcej i w znacznie większym wyborze niż kiedykolwiek, gdyż wielkość produkcji i dostaw rynkowych o miliardy przekroczyła założenia planowe. Bo to co oglądamy w sklepach — albo odbiega od naszych wyobrażeń o ładnym, funkcjonalnym wnętrzu, albo jeszcze od możliwości naszych kieszeni.

Czy mamy złe gusty? Z pewnością jesteśmy tradycjonalistami w meblowaniu, ale tradycjonalistami często z przymusu. Kolejki po pięknie błyszczące, ciemny komplet „Kozienice”, choć w zasadzie bez większych problemów można ostatnio kupić np. awangardowy biały „Kapitol”, biorą się nie tylko ze złego gustu, ale chyba również i stąd, że „Kozienicami” mebluje się dwa pomieszczenia, gdy przy innych typach mebli za tę samą cenę można zagospodarować jedną ścianę. Można w zamian meblować się „Łaskiem”, ale trzeba czekać, i to niestety długo. Meblowe rarytasy jeszcze przez jakiś czas będą „na kartki”, czyli na zapisy. Ogromne utrudnienie powoduje także brak atrakcyjnych mebli pojedynczych. Chcemy kupić regał, szafki itp., oferuje się nam całe zestawy, pełny komplet mebli, bo tak łatwiej i dla przemysłu, i dla handlu.

Odnoszę jednak wrażenie, że z tym brakiem mebli, choć jest oczywiste, troszkę chyba przesadzamy. Mówiąc mebli nie ma, na ogół nie precyzujemy jakich mebli nie ma i gdzie. Czasami po prostu nie ma ich dlatego, o czym ostatnio zaczyna się mówić coraz głośniejsze, że sprzedawcy chomikują meble na zapleczu — czemu sprzyja zresztą brak powierzchni sklepowej — by za „dopłatą” uszczęśliwić wreszcie klienta tym, czego poszukuje. Ale nie tylko. Jeżdżąc po kraju, zaglądam do meblowych sklepów. W małych miejscowościach — bo w dużych sytuacja

wygląda zupełnie inaczej, ze względu na większą ilość oddawanych mieszkań — tkwią w sklepach meblowe zestawy, za którymi np. w Warszawie „biją się”. Mam znajomych, którzy sprawili sobie „meblowy garnitur”, taki jaki im odpowiadał, co prawda nie z polyskiem, lecz matowy, o który łatwiej wszędzie — aż na Lubelszczyźnie. Bron boże, nie uważam, że jest to sposób na meblowanie się i nikomu go nie zalecam, nawet tym, którzy biegają za meblami między Emilii Plater, Przeskokiem i Waryńskiego, psocząc to na przemysł, to na handel. Dystrybucja mebli pozostawia jednak wiele do życzenia, chyba dlatego, że nie ma rozeznania terenowych potrzeb i gustów, zasobności kieszeni i stwarza wrażenie, że mebli jest mniej niż wynika to z produkcyjnych bilansów.

A przecież oferta przemysłu meblowego, który od czterech lat znajduje się pod tak ogromną presją nagromadzonych i narastających potrzeb, wcale nie jest tak mała. Na rynku znajduje się 1960 wzorów mebli, w 1970 r. było ich zaledwie kilkaset. Gwoli prawdy trzeba jednakże dodać, że znajduje się wśród nich sporo meblowych bubli, choć w ostatnich 2-3 latach wymianie uległa 1/3 produkcji.

Dyrektor Centrali Handlu Meblami, BRONISŁAW LALIK wyliczył, że gdyby chcieć wszystkie wzory mebli pokazać w Warszawie, trzeba by zająć obok sklepów meblowych powierzchnię całych domów towarowych „Centrum”. Jest to oczywiście niemożliwe, ale taka wystawa dałaby dopiero pełne wyobrażenie o naszym wzornictwie meblowym, jakie trudno sobie wyobrazić w zawałonych, zagraconych sklepach, przy braku na dodatek dostępnych katalogów meblowych. A bez meblowej propagandy trudno sierować popytem, kształtować gusty, ukierunkowywać potrzeby. Choć o tym wiemy, sprawa nie rusza z miejsca. Prasa, a zwłaszcza telewizja, mogłaby pod tym względem działać wiele dobrego. Przemysł i handel mogłyby zacząć żywiej działać, wykorzystując istniejące możliwości.

DOKOŃCZENIE NA STR. 2

MATKA I SYN

Godło: „ORCHIDEA”



Fot. S. ZUBCZEWSKI

WE WRZEŚNIU 1944 r. przybyły do Przemysła 2 pułki wojska polskiego witanie owacyjnie i ze łzami w oczach przez mieszkańców tego miasta. Pułki ułokowały się w koszarach na Zasaniu. Mój były mąż pracował jako oficer w WKR, a w pierwszych dniach września został oddelgowany do Lublina. Ja zostałam w Przemyslu. Miałam wymaszerować z jednostką, ale z uwagi na zbliżające się przyjsie na świat drugiego syna, radzono mi, by pozostać na tyłach, bo i tu obecność moja będzie pożyteczna dla ojczyzny. Opuśczone majątki ziemskie, zdewastowane, trzeba było zagospodarowywać. Organizowano szkolnictwo rolnicze.

Dyplom nauczyciela uzyskałam w 1933 r. w I Państwowym Seminarium Nauczycielskim Żeńskim w Przemyslu. Podjęłam więc pracę nauczycielki w szkolnictwie rolniczym w pow. przemyskim.

Cieężka w tym czasie była praca nauczycielki. Brak było podręczników. Odczuwało się niechęć społeczeństwa wiejskiego do szkół rolniczych na tamtym terenie. Majątki ziemskie trzeba było niejednokrotnie odgruzowywać i na domiar tego wsie były palone przez bandy UPA.

Jeszcze dziś gdy wspominam tamte czasy, przejmuję mnie trwoga. Sądzę, że przeżyłam piekło za życia.

Najpierw otrzymałam nominację na nauczycielkę w Gminnej Szkole Gospodarstwa Wiejskiego w Birczy Przemyskiej. Do szkoły tej nie dojechałam, gdyż zawrócił mnie z drogi patrol żołnierzy polskich oświadczając, że o żadnej organizacji szkolnej w tej wsi nie może być mowy, bo są tam walki i napady, a ludność jest nękana i mordowana przez UPA.

Wydział Oświaty Rolniczej w Rzeszowie polecił mi organizację innych szkół w powiecie przemyskim, a mianowicie w Krzywicy i Maćkowicach k/Przemysła. Ale po zorganizowaniu tych szkół nie doszło do uruchomienia w nich nauki, gdyż w przeddzień otworzenia szkoły zostały zdewastowane przez nieznanych sprawców.

Następnie przeniesiono mnie do Ostrowa k. Przemysła, do Powiatowej Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego. Szkoła w Ostrowie została zorganizowana w budynku dworskim,

Sytuacja moja poprawiła się, gdy przeniesiono mnie do Szkoły Rolniczej w Ostrowie. Zabrałam synka i nianię na wieś do szkoły. Wtedy już nie musiałam po pracy wędrować kilka kilometrów dziennie. Dochodzenie do szkoły na wieś było męczące. Czasami wracałam tylko na noc do syna, by na niego popatrzeć, wynieść na powietrze i znowu rano biegłam kilka kilometrów do szkoły.

Powiatowa Szkoła Gospodarstwa Wiejskiego w Ostrowie, do której zostałam przeniesiona, mieściła się w budynku dworskim, położonym w parku nad Sanem. Za parkiem w kierunku szosy głównej były budynki gospodarcze należące do szkoły rolniczej. W budynku szkolnym po jednej stronie mieszkaliśmy z synkiem i nianią, a z drugiej strony mieszkał karbowy majątek szkolny z rodziną. W dzień było tam pięknie jak w bajce, a w nocy strasznie, zwłaszcza, gdy pojawiały się luny na niebie.

Kierownik szkoły rolniczej mieszkał we wsi oddalonej o 1 km od szkoły. Szkoła rolnicza w Ostrowie była nastawiona na ogrodnictwo. Uprawialiśmy kalafiory, pomidory i ogórki na większą skalę z dostawą do odbiorców w Przemyslu. Państwo wtedy przydzielało duże dotacje na zagospodarowanie szkoły i majątku szkolnego. Sprowadzono konie unrowskie, krowy białe-czarne, które nie rozumiały nawoływania pastucha i ciągnęły paść się tylko nad stawy i moczary.

Grono nauczycielskie oprócz nauki miało obowiązek czuwania nad majątkiem szkolnym. Zastępując koleżankę nauczycielkę gospodarstwa, pełniłam w czasie jej nieobecności (gdy wyjechała na kurs pedagogiczny) dyżury w obozie. O 4 rano gong budził zawsze służbę i mnie. Biegłam przez park nieraz w szlafroku i z miarką, by dyżurować przy udoju. Do nauczycieli należało też werbowanie uczniów do szkoły, bo ludność okoliczna odnosiła się wtedy z wielką niechęcią do tych szkół. Okoliczni rolnicy widząc jednak jak w szkole rozwija się ogrodnictwo, zaczęli bardziej sympatyzować ze szkołą, więc zyskiwałam coraz to więcej uczniów. Młodzież była dorosła, toteż pracowało się dobrze.

Najgorsze były noce. Z tamtych lat utkwiła mi w pamięci szczególnie jedna noc. Pozostawiła ona we mnie trwały lęk. Mieszkając obecnie w domu jednorodzinnym dość często po pracy zasłaniałam okna, jeszcze boję się ludzi...

W tę pamiętną noc zostałam w budynku szkolnym zupełnie sama z synkiem. Rejestrowałam wtedy do późnej nocy raporty gospodarcze i kasowe. Okna kancelarii szkolnej wychodziły na San. Za Sanem po drugiej stronie była wieś Pralkowice otoczona z dwóch stron lasami. Gdy tak pracowałam pochylona, nagle zobaczyłam w szybach blask i ku zdziwieniu memu ujrzałam, że po drugiej stronie Sanu z lasu wyszli jacyś ludzie z pochodniami. Myślałam, że podpalą Pralkowice, przepłyną San (choć w tym miejscu rzeka była głęboka) i zabiorą się do niszczenia Ostrowa i szkoły rolniczej.

Zabrałam więc z pokoju śpiącego synka na ręce, żeby mnie zamordowali razem z dzieckiem. Zgasłam światło i stałam przy oknie nadsłuchując i obserwując, co dzieje się po drugiej stronie Sanu. Stało się inaczej niż przewidywałam. Podpalono pochodniami kilka budynków niedaleko lasu we wsi Pralkowice i wycofano się do lasu. Długo nie mogłam przyjść do siebie. Ten ciągły strach i czuwanie bardzo rozstroiło mi nerwy. Sympatowałam raczej do wyroczni, a pracowałam bez wytchnienia, by nie myśleć o niczym. Ciągłe lękałam się o życie mojego jedynego synka. Toteż, gdy mój były mąż zainteresował się mną i nakłonił mnie do przyjazdu na teren zachodni, byłam niezmiernie rada.

W PAŹDZIERNIKU 1947 r. wyjechałam z Ostrowa do Nowej Soli z 2-letnim synkiem. Wyjeżdżając na zachód zostawiłam Szkołę Gospodarstwa Wiejskiego w Ostrowie zagospodarowaną. Cieszyło mnie niezmiernie, że mimo tych okropnych warunków wszystko tracało do życia. Po przyjeździe na teren zachodni do Nowej Soli zorientowałam się, że nie ma tutaj w okolicy szkół rolniczych, więc podjęłam pracę w 1948 r. w Komunalnej Kasie Oszczędności. Praca była inna, ale wnet opanowałam i te zagadnienia. Na zachodzie życie płynęło inaczej, niż tam w Bieszczadach. W 1949 r. KKO upaństwowiono, powstał Państwowy Bank Rolny. Bank finansował przedsiębiorstwa według planów i wprowadzał na szeroką

skale obrót bezgotówkowy. Do tak rozbudowanych prac bank nie był przygotowany. Brak było ludzi z odpowiednim przygotowaniem. Brak było maszyn i urządzeń potrzebnych do liczenia, sprawdzania przelewów, inkas itp. Wszelkie obroty sprawdzało się przy pomocy liczydeł. Trzeba się było uczyć ekonomii.

Wtedy znajdowałam się w szczególnie trudnej sytuacji. Rozwiodłam się ostatecznie. Syn mój miał 5 lat i opuściła nas w 1950 r. nasza niania, która tak bardzo była mi pomocna. Teraz po przyjeździe z pracy musiałam błyskawicznie gotować obiad, zabierałam synka z przedszkola i wracałam do dalszej pracy w banku do późnej nocy, by wyprowadzić konta na bieżąco (pracowałam wtedy w księgowości). Synek mój często spał na stole za kontuarem, przykryty płaszczykiem, a ja pracowałam. Niejednokrotnie wracałam do domu i po północy, żeby tylko przespać się i rano odprowadzić dziecko do przedszkola i znowu powrócić do żmudnej pracy. Życie moje w tym okresie można porównać do życia w obozie, z tą tylko różnicą, że byłam na wolności.

W mej trudnej sytuacji, przyszli mi z pomocą lekarze ubezpieczalni. Na okres zimy wysłali mi parokrotnie syna do prewatorium. Po paru latach takiej pracy mój organizm nie wytrzymał, zachorowałam na płucę. Po przedłożeniu świadectwa lekarskiego zwolniono mnie z obowiązku pracy po nocach, w ogóle przeniesiono do innego wydziału i wysłano do sanatorium. W 1953 r. nastąpiła fuzja banków, od sierpnia tegoż roku zostałam przeniesiona do Narodowego Banku Polskiego w Nowej Soli i tu zaczęłam pracować w wydziale kredytów. Praca w wydziale kredytów była ciekawsza i interesująca. Chcąc być dobrym kredytowcem trzeba było poznać strukturę przedsiębiorstwa i znać dobrze ekonomię socjalistyczną. Do kontroli i kredytowania powierzono mi wprawdzie przedsiębiorstwa rolno-leśne, a później spółdzielnie pracy o różnych profilach produkcyjnych. Dużo w tym kierunku kształciłam się samodzielnie.

Z uwagi na dobre wyniki w pracy dyrekcja powierzyła mi później kierownictwo grupy przedsiębiorstw terenowych. Do obowiązków moich jako kierownika grupy należało oprócz prowadzenia samodzielnego 3 przedsiębiorstwa, szkolenie i wykonywanie kontroli wewnętrznych podległych mi pracowników.

CHCĄC lepiej wywiązywać się z powierzonych mi obowiązków w 1958–60 r. ukończyłam jako wolny słuchacz studium ekonomiczne. W tym czasie dorastał mój syn. Ukończył liceum ogólnokształcące. Będąc zdolnym matematykiem i fizykiem, zdał i został przyjęty na Wydział Fizyki na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Nauki jednak na tym Uniwersytecie nie mógł kontynuować, gdyż przepisy nie pozwoliły na udzielenie mu stypendium. Zarobki moje jako inspektora kredytowego wynosiły w tym czasie 2.200 złotych. Nie miałam żadnej pomocy, a w granicach tych zarobków nie byłam w stanie utrzymać dwa domy. Widząc, że syn coraz gorzej wygląda, zaproponowałam mu rezygnację ze studiów w Krakowie. Powiedziałam synowi, że wiedza jest dla życia, a nie życie dla wiedzy, że po roku dostanie gruzlicy, a ja też razem z nim.

Nie dałam jednak za wygraną. Po powrocie syna z Krakowa zwróciłam się do WAT w Warszawie z prośbą o przysłanie mi informacji co do studiów. Uczelnia ta bardzo mi odpowiadała. Tam nie zwracano uwagi na moje zarobki, lecz na wiadomości studenta. W 1964 roku po złożeniu egzaminu konkursowego Andrzej został zaliczony w poczet studentów WAT w Warszawie. Od tej pory już nie lękałam się o los syna, bo wiedziałam że jest pod dobrą opieką. W 1969 r. uzyskał on tytuł inżyniera elektronika, jest dobrym pracownikiem, ojcem i mężem.

Na przestrzeni ostatnich lat jeździłam nad morze na wakacje i do Przemysła na groby rodziców i miałam możliwość zobaczyć, że Polska od Bałtyku po Bieszczady staje się coraz piękniejsza, coraz bogatsza. Wyśilek ludzi u zarania, gdy kształtowało się nowe życie społeczne nie poszedł na marne. I ja przeprowadziłam pożytecznie dla ojczyzny tych blisko 30 lat i w tym, co spostrzegam dookoła — widzę i moją ciekawą.

Równocześnie rósł i wychowywał się w różnych warunkach bytowych (innych niż mają dziś jego dzieci) mój jedyny syn, Andrzej. Gdy staje przed mną w mundurze lotnika, to serce raduje się niezmiernie.

listy

Wspaniałe barbarzyństwo i odwieczna głupota

Dr inż. St. Maciaszek zareagował (Życie Gospodarcze nr 2/75) na artykuł prof. Zb. Wierzbickiego „Współczesne barbarzyństwo” (nr 46/74) pytaniem: „Barbarzyństwo, czy odwieczna głupota?” Nie zorientował się, że są to właściwie synonimy. Przedstawiciel technokracji stwierdził, iż „przeciwko degradacji: środowiska jest tylko jedno jedyne wyjście: rozbudowa nowoczesnego przemysłu”. Przemysł był, jego zdaniem, groźny tylko w swych pierwotnych, ale „obecnie problemy te zostały rozwiązane”. Co do roli człowieka, to naruszył on rzekomo równowagę biologiczną przez samo pojawienie się, w momencie złapania pierwszej ryby i wykarczowanie pierwszego drzewa. Równowaga biologiczna, pisze ten specjalista od biologii, właściwie nie istnieje. Są tylko zmiany ewolucyjne i przystosowania się. Pozbawiony wyobraźni przestrzennej i wierzący w nieskończoną, niewyczerpaną ilość surowców wraz z wodą, glebą, powietrzem i tlenem, nie widzi oczywistych dziś dla wszystkich granic wzrostu.

Autor z faktu, że dziś ludzie żyją lepiej i dłużej, wysuwa wniosek, że tak będzie zawsze i ufnie patrzy w przyszłość. Jakby nie wiedział, nie słyszał, nie widział — chociażby na ekranach telewizorów — milionów dzieci i dorosłych umierających co-roczenie z głodu i coraz to pogłębiającej się przepełnienia między światem sytych a światem głodujących.

Co do Tatry, zadepytanych przez miliony — to dr Maciaszek twierdzi, że są one tylko dla wybranych, tylko wybrani mogą korzystać z nart i turystyki! Zdaje się nie zauważać tych trzech milionów turystów rocznie, tych 20 tysięcy w jednym dniu nad Morskim Okiem. Natura natomiast niszczy się sama! Człowiek nie a nie tu nie działa.

W końcu Autor, nie podając żadnych wniosków oraz bez związku z nurtem głównym polemiki, stwierdza nagle, że istnieje wzrost populacji, że człowiek ma prawo zmieniać przyrodę i tworzyć agroceozę, tj. uprawy rolne wedle potrzeb. Ma to oznaczać, że i w Tarach, obok kolejek, powinny powstawać nowe agroceozy.

Być może dr Maciaszek nie spodziewał się, jaką przysługę a uciechę sprawi tym „ochroniarzom”, których jest, jakby można sądzić, osobistym wrogiem. Ochroniarze to ludzie, którzy z egoistycznych powodów powołują żądają ochrony przyrody parków narodowych, zabytków, kultury.

Jednak i najgorliwszy ochroniarz rozumie konieczność niemiękkich czynów zniszczeń całych regionów, wobec wymogów gospodarki. Nie może zrozumieć tylko, dlaczego w pierwszym kolejności mają ulec zniszczeniu skaliste Tatry. Zamiast w ostatniej. Dr WŁODZIMIERZ MARCINKOWSKI Kraków

78 milionów złotych w starych opakowaniach

W „Życiu Gospodarczym” nr 49/54 w rubryce „Żywiołek Gospodarczy” podano — cytując: „W Sześciu Państwowym Przedsiębiorstwie Handlu Meblami codziennie zbierają się haldy skrzyni z desek, w których przewożone są meble z fabryk. Znaczna ilość drewna świetnego na opał wędruje na śmietnik. Przedsiębiorstwo Handlu Meblami chciało wobec tego oddać drewno Przedsiębiorstwu Handlu Opalem za darmo. Handel Opalem zgodził się pod warunkiem, że handel meblami dostarczy drewno pociete i powiązane w wiązki na własny koszt” — koniec cytatu. Jest to jeden z kwiatków z łazki powszechnego marnotrawstwa drewna. Jest to zjawisko bez precedensu i nie tylko w Szczecinie.

Niewątpliwie zapobiegając będzie temu marnotrawstwu drewna Uchwała nr 178/74 Rady Ministrów z dnia 29.VII.1974 r. w sprawie dodatkowego wynagrodzenia za odprowadzanie odpadów i wykorzystanie opakowań używanych, wkalikulowanych w cenę towaru. Jest to uchwała korzystna dla wszystkich, pozwalająca zarobić i tym co sprzedają, i tym co kupują, nagradzając tych co się tym zajmują. Myślę, że jest to właściwa droga do zwiększenia oszczędności materiałów i nie tylko drewna. Widzę w tym olbrzymie możliwości działania rad zakładowych. Mogłyby one tą drogą poważnie podbudować fundusz społeczny, naturalnie po opłaceniu wszelkich kosztów związanych z rewaloryzacją surowców wtórnych.

Dla informacji podaję parę danych z zakresu zużycia tarcicy na opakowania mebli: przemysł meblarski kluczowy zużywa w kraju listew opokowanowych i tarcicy kl. V-VI około 90 tys. m sześciu; przemysł spółdzielczy i przemysł terenowy około 40 tys. m sześciu. Trudno mi powiedzieć ile z tych ilości przeznaczają się na opakowanie mebli na eksport. Gdyby chociaż 40–50 proc. tej masy drewna na eksport, co uważam za możliwe, oszczędność drewna byłaby olbrzymia. Koszt 1 m sześciennego listew opokowanowych wraz z kosz-

tami ich przygotowania do obicia wynosi około 2200–2300 zł. Gdyby ustalić w drodze umowy pomiędzy Przem. Meblarskim a Woj. Handlem Meblami cenę umowną za każdy 1 metr sześcienny rozsortowanych według długości, oczyszczonych z gwoździ i powiązanych w pęczki listew na 1200–1300 zł, to przy ich odprowadzaniu można by uzyskać materiał drewniany o wartości (65 000 m sześciu x 1200 zł/m sześciu) ok. 78 milionów zł. Chyba gra warta świecy. Składy Handlu Meblami mogłyby zatrudnić np. emerytów, którzy w zależności od potrzeby czyszciliby, sortowali i przygotowywali do powtórnego użycia materiał. A zatem nie na śmietnik, nie na opał, a z powrotem do fabryk mebli; a tych kilkudziesięć tysięcy m sześciu tarcicy na poprawę zaopatrzenia rynku.

WINCENTY KRUSZYŃSKI Poznań

Graj gitaro

Odpowiadając na notatkę pt. „Gitary i fujaury” (Z. G. nr 4/75) — Centrala Handlowa Przemysłu Muzycznego informuje, że nadzoruje działalność 38 placówek detalicznych zlokalizowanych na terenie całego kraju. Zapewnienie w specjalistycznej sieci handlowej ciągłości sprzedaży pełnego asortymentu instrumentów i akcesoriów muzycznych jest jednak zagadnieniem złożonym. Wynika to z niedostatecznej podaży tych artykułów, tak produkcji krajowej, jak i z importu, a także z częstych zmian popytu w krótkim czasie na niektóre instrumenty muzyczne.

W roku 1974 nasza Centrala zakupiła w Dolnośląskiej Fabryce Instrumentów Lutniczych w Lublinie 17 tysięcy sztuk gitar popularnych co w porównaniu ze sprzedażą lat ubiegłych dawało gwarancję utrzymania ciągłości ich sprzedaży, a tym samym pełnego zaspokojenia potrzeb. Obserwując w ciągu roku wzrost zapotrzebowania na ten artykuł złożono dodatkowo zamówienia.

W ubiegłym roku sprzedaż gitar popularnych wyniosła 24 400 sztuk i była to całoroczna produkcja DFIL.

Na rok 1975 podpisano z producentem umowę na dostawę 29 000 sztuk gitar popularnych oraz zgłoszone już dodatkowe zapotrzebowanie w ilości 6 000 sztuk. Oceniamy, że wymienione ilości gitar zaspokoją w b. roku potrzeby rynku krajowego.

Odnosnie pokrowców i pasów do gitar podajemy, że nasi klienci nie zawsze decydują się na zakup gitary łącznie z wymiennymi przedmiotami. Praktyka wykazuje, że w czasie użytkowania gitar popularnych czy klasycznych nie stosuje się pasów i w przeciwnieństwie do gitar akustycznych. Biorąc przy tym pod uwagę fakt, że głównym odbiorcą gitar popularnych w cenie 700–800 zł jest młodzież, którą nie zawsze stać na dodatkowy wydatek, nie wydaje się nam celowe sprzedawanie tych gitar łącznie z pasami i w pokrowcach. Kwestionowana przez autora notatki jakość gitar popularnych HS-10 i HS-11 nie znajduje potwierdzenia w naszych obserwacjach. Dział Techniki i Badania Jakości Centrali Handlowej Przemysłu Muzycznego podczas odbioru jakościowego gitar tylko w sporadycznych przypadkach stwierdza poknięcia płyt rezonansowych. Ilość takich gitar stanowi minimalny procent w stosunku do zakupu. Nie można zatem uogólniać pojedynczych przypadków uszkodzeń gitar do wszystkich, bądź większości, znajdujących się w sprzedaży. Stwierdzamy przy tym, że często uszkodzenie gitary spowodowane jest niewłaściwym obchodzeniem się z instrumentem. Drewno gitary jest bardzo podatne na wpływy atmosferyczne i zmiany temperatur, łatwo pęka gdy jest przechowywane w niewłaściwych warunkach. Dlatego też użytkownik winien dokładnie zapoznać się z instrukcją przechowywania i użytkowania instrumentu, która jest podana w treści karty gwarancyjnej.

Centrala Handlowa Przemysłu Muzycznego natomiast podziela w pełni uwagę autora notatki ośnośnie trybu załatwiania reklamacji. W przypadku gitar — naprawy gwarancyjne dokonywane są wyłącznie przez producenta tj. Dolnośląską Fabrykę Instrumentów Lutniczych w Lublinie bez pośrednictwa sklepu, z uwagi na brak wyspecjalizowanych zakładów naprawczych tak w Warszawie jak i w innych miastach na terenie całego kraju. Ustalenia zawarte w omawianej gwarancji wymagają modyfikacji i podjęliśmy już odpowiednie kroki w naszym Zjednoczeniu Przemysłu Muzycznego dla rozwiązania tego problemu.

Przekazując powyższe informacje pragniemy podkreślić, że sprawa podnoszenia na coraz wyższy poziom świadczonych klientom usług znajduje się w centrum naszego zainteresowania. Dlatego też, każdy sygnał dotyczący oceny naszej działalności bez względu na to w jakiej formie do nas dociera, traktujemy jako cenną informację i dalszą pomoc w naszej pracy.

Centrala Handlu Przemysłu Muzycznego mgr WALDEMAR PIEKARSKI Dyrektor

DOKOŃCZENIE NA STR. 4

DLA OBRONY ŁADU PRZESTRZENNEGO

ROZMOWA Z CZESŁAWEM KOTELĄ —
WICEMINISTREM GOSPODARKI TERENOWEJ
I OCHRONY ŚRODOWISKA

Fot. S. ZUBCZEWSKI

Inwestycje z którymi wiążemy nadzieje na szybki rozwój społeczny i gospodarczy, powodują przeobrażenia w krajobrazie na nie spotykaną dotychczas skalę. Jak jesteśmy przygotowani do ujęcia w karby dyscypliny przestrzennej natężającej się z roku na rok działalności inwestycyjnej? Rozmawiamy na ten temat z mgr. inż. arch. CZESŁAWEM KOTELĄ, wiceministrem Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska.

— Panie Ministrze, intensyfikacja budownictwa wywołuje zaniepokojenie o przyszłość środowiska naturalnego w naszym kraju. Czy Pana zdaniem niepokój jest uzasadniony, czy rozluźnieniem dyscypliny w gospodarowaniu przestrzenią?

— Sam fakt, że opinia publiczna jest dziś bardziej niż kiedykolwiek uczulona na sprawy ochrony środowiska, jest zjawiskiem pozytywnym. Świadczy o ogólnym postępie kultury społecznej, wyrobionej wyobraźni społeczeństwa uprzedmiotowego. Ta presja opinii staje się często cennym sojusznikiem organów władzy w walce o ład przestrzenny. Przepisy i sankcje nie eliminują automatycznie błędów w postępowaniu. W pełnym majestacie prawa można przeciw teoretycznie wybudować obiekt oszczędzając na trwałe krajobraz. Potknięcia zdarzają się w każdym działaniu, ludzie myślą się, mimo najlepszych intencji.

Klimat społecznej dezaprobaty w stosunku do niewłaściwych rozwiązań i pochwała dobrych, wpływa mobilizując na wszystkich odpowiedzialnych za ten ważny odcinek życia.

Nie ma natomiast z całą pewnością podstaw do bicia na alarm z po-

wodu jakiegokolwiek zagrożenia naszego środowiska przez działalność inwestycyjno-budowlaną. Przeciwnie, dynamizacji tej dziedziny gospodarki towarzyszył w ostatnich latach energicznie przygotowywany zespół przedsięwzięć prawnych, planistycznych i organizacyjnych pozwalających na racjonalne kierowanie rozmieszczeniem zespołów budowlanych i pojedynczych obiektów. W samym planowaniu przestrzennym udało się osiągnąć postęp dotychczas nie notowany. Po raz pierwszy w końcu powstał plan przestrzenny zagospodarowania kraju.

— Plan zagospodarowania przestrzennego kraju, jak również plany regionalne, określają rolę i funkcję poszczególnych regionów w sposób generalny. Czy nie zachodzi obawa, że opóźnienia powstałe w pracach nad planami przestrzennymi niższych szczebli, a więc planami ogólnymi, miejscowymi i szczegółowymi osłabia praktyczną rolę planu krajowego, jako instrumentu organizującego działalność inwestycyjną?

— Mówiąc o przygotowaniu warunków do racjonalnego kierowania polityką przestrzenną, miałem na myśli nie tylko plan krajowy. Poważnie zaawansowane są także pra-

ce nad planami zagospodarowania przestrzennego wszystkich typów. Równolegle z pracami nad planem krajowym przygotowywane są plany poszczególnych aglomeracji, które są podstawą przetwarzania sieci osadniczej w Polsce. Wkrótce przystępujemy do ich zatwierdzania.

W ubiegłym roku zrobiony został olbrzymi wysiłek nad sporządzeniem planów zagospodarowania przestrzennego dla wszystkich gmin w kraju. W końcu roku mieliśmy już gotowe uproszczone tego typu opracowania dla 2265 gmin, a 98 gmin ma kompletne plany zagospodarowania przestrzennego. Trwają jednocześnie prace nad aktualizacją planów ogólnych wszystkich miast. Zakładamy, że jeszcze w tym roku będą one sfinalizowane.

— Nie jedyną wprawdzie, ale jedną z istotnych przyczyn zahamowania w budownictwie indywidualnym, był brak wyznaczonych terenów przeznaczonych na tego typu zabudowę, w miastach i na ich obrzeżach. Czy można się spodziewać, że postęp prac, o których Pan mówi, wyeliminuje te kłopoty?

— Kłopoty te wynikały nie tyle z braku wyznaczonych terenów, ile z trudności w przekazywaniu ich inwestorom. Obecnie przystępuje się do energicznego usuwania zaistniałych zaległości. Do końca roku sprawa ta zostanie rozwiązana.

— Z przeobrażeniami przestrzennymi zabudowy wiejskiej wiąże się ściśle program unowocześnienia rolnictwa. Czy to co buduje się obecnie i zamierza się budować w najbliższych latach, będzie służyć realizacji tego założenia?

— Tu zrobiony został chyba największy krok do przodu dla przygotowania podstaw racjonalnej polityki zagospodarowania przestrzennego. Jak wspominałem już, po raz pierwszy mamy opracowane plany zagospodarowania przestrzennego dla wszystkich gmin w Polsce. Wyznaczone zostały granice zabudowy, poza którymi nie wolno będzie lokalizować żadnych obiektów. W ten sposób zapewnia się warunki do koncentrowania zabudowy i — co równie ważne — do szeroko rozumianej ochrony gruntów rolnych. Aktualnie sporządzone plany są w wielu przypadkach wystarczającą podstawą do podejmowania decyzji inwestycyjnych w bieżącym pięcioletniu. Najbliższym etapem prac są plany szczegółowe gminnych ośrodków mieszkaniowo-usługowych.

— W jakim stopniu i zakresie gminne plany są realizacją koncepcji przestrzennej zawartej w planie krajowym?

— To nie są opracowania niezależne od siebie. Nasz resort kierując pracami w gminach, współdziałał ściśle z zespołem przygotowującym plan krajowy. W trakcie opracowywania planów gminnych opierano się na ustaleniach planu wyższego rzędu, określających funkcję i rolę regionów. Nie znaczy to, że przy szczegółowym rozwińnięciu generalnych założeń w planach gminnych, nie mogą powstać pewne rozbieżności w stosunku do krajowych ustaleń. W tej chwili trudno byłoby odpowiedzieć na pytanie, jakie korekty dla planu krajowego wynikają z opracowań gminnych. Niewątpliwie po podsumowaniu i dokładnym przeanalizowaniu materiałów, będziemy mogli przekazać wiele interesujących wniosków przydatnych w dalszych pracach nad planem krajowym.

— Czy plany te mają szansę pełnej realizacji w aktualnej praktyce budownictwa wiejskiego? Z doświadczeń przeszłości wiemy, że związki między ustaleniami planistów przestrzeni a praktyką były dość luźne, a plany w których opracowanie włożono ogromny wysiłek, były niedostatecznie wykorzystywane.

— Wyjaśnijmy od razu, że przygotowane przed parą laty opracowania zostały w pełni wykorzystane w planach sporządzanych obecnie. W ogóle nie byłoby możliwe ich wykonanie w tak krótkim terminie, gdybyśmy nie mieli dorobku poprzedniego okresu.

Uproszczone plany zagospodarowania przestrzennego gmin są dokumentem obowiązującym w praktyce

inwestycyjnej na terenie całego kraju. Opracowywane one były przez zespoły, na czele których stali naczelnicy gmin. Jest to z punktu widzenia psychologicznego bardzo ważny moment, bowiem mieli oni okazję bardzo szczegółowo przyswoić sobie założenia koncepcji przestrzennej, a jednocześnie zaangażować się w te sprawy.

Zespoły, opierając się na planach społeczno-gospodarczych rozwoju gmin bezpośrednio kontaktowały się z inwestorami danego terenu, uzgadniając na bieżąco bardzo szczegółowe decyzje. Po zakończeniu opracowań plany wyłożone zostały do wglądu wszystkich zainteresowanych. Zgłoszone uwagi — a było ich wiele — stały się podstawą korygowania ustaleń. Była to więc przy okazji wielka akcja szkolenia z zakresu koordynacji przestrzennej inwestycji.

W gminach utworzone zostały organy nadzoru, które na bieżąco czuwać mają nad realizacją ustaleń zawartych w gminnych planach. Powołano po raz pierwszy na tym szczeblu inspektorów budownictwa, a stanowiska te obsadzone są już w większości przypadków ludźmi ze średnim wykształceniem. W stosunku do poprzedniego układu organizacji nadzoru, jest to już znaczny postęp.

— Czy nie zbyt optymistyczne są rachuby na uporządkowaną zabudowę wsi, oparte na przytoczonych przez nas przesłankach. Tereny budowlane na wsi wyznaczone były już przed laty, a jednak nadal wyrastają tam pojedyncze zabudowania, oddalone od siebie kilometrowymi odległościami.

— Uważam, że nie można uogólniać przypadków takiej zabudowy, jakkolwiek wiele mamy tu jeszcze nieprawidłowości. Jak wiadomo, stosunki własnościowe wsi komplikują kierowanie porządkiem przestrzennym. Obywatel chce często budować na działce własnej, znajdującą się poza wyznaczonym obszarem zabudowy. Kiedy odmawia się mu pozwolenia, trzeba jednocześnie udostępnić mu inną działkę na terenie przeznaczonym na ten cel. Ale i tu komplikują sprawę stosunki własnościowe. Bawiem przekazanie terenu pod zabudowę wiąże się ze skłonieniem do sprzedaży go przez dotychczasowego właściciela. W rezultacie zabiegów te wywołują niezadowolenie obu stron. Nowelizacja ustawy o wyznaczaniu terenów budowlanych na wsi, uchwalona w 1969 roku znacznie usprawniła tryb postępowania przy przekazywaniu „działek budowlanych” i złagodziła związane z tym problemy społeczne. Wprowadza ona mianowicie zasadę, że tereny przeznaczone pod zabudowę przejmują do swojej dyspozycji Bank Rolny, i pośredniczą niejako w oddziale ich nowemu użytkownikowi.

— Czy Pana zdaniem, organy administracyjne powołane do egzekwowania ustaleń planów przestrzennych wszelkich typów, dysponują obecnie dostatecznymi uprawnieniami potrzebnymi do spełnienia tej funkcji.

— Mam obecnie przede wszystkim bardzo rygorystyczny instrument w postaci nowego prawa budowlanego. Weszło ono w życie z dniem 1 marca br. O ile poprzednio obowiązujące prawo koncentrowało uwagę przede wszystkim na technicznej poprawności budowli, o tyle nowe prawo rozszerza znacznie zakres dziedzin normowanych przez przepisy pod kątem ładu przestrzennego. Podnosi ono między innymi sprawy ochrony środowiska w różnorodnych aspektach, precyzując jednocześnie warunki, jakie spełnić musi inwestor ubiegający się o lokalizację. W stosunku do poprzednio obowiązujących norm, wyeliminowane zostało wiele formalnych warunków, ale jednocześnie wzrosła znacznie odpowiedzialność za podejmowane decyzje, u wszystkich partnerów procesu inwestycyjnego.

Nadaje ono władzom terenowym szerokie uprawnienia i możliwości ingerencji w sprawy działalności inwestycyjnej. Dla przykładu — jeśli poprzednie dopuszczało możliwość rozbiórki lub przejęcia na własność państwa obiektów wybudowanych bez zezwolenia odpowiednich organów nadzoru budowlanego, to nowy przepis wyraźnie zobowiązuje do

rozbiórki lub przejęcia na własność państwa samowolnie wzniesionego budynku.

— Mówimy o środkach administracyjnych. W jakim stopniu wykorzystuje się w tej dziedzinie środki ekonomiczne oddziaływania. Chodzi mi zwłaszcza o środki zapobiegające rozrzuć gospodarce terenami przejmowanymi przez inwestorów przemysłowych.

— I w tej dziedzinie również zastrzeżone zostały dotychczas obowiązujące przepisy. Ustawa o ochronie gruntów rolnych z 1971 r. wprowadza rygory ekonomiczne. Opłaty, które uiszczyć musi inwestor przejmujący teren pod zabudowę są obecnie bardzo wysokie. Zależą to oczywiście od kategorii gruntów rolnych i zalążonych.

Rzecz jasna poprzez same opłaty nie da się wyeliminować marnotrawstwa. Tereny przejmowane przez inwestorów nie od razu są zabudowywane w całości. Jeśli będzie to do bry gospodarza, część wykupionej działki przekazuje do czasowego użytkownika rolniczego. Co prawda ostatnio coraz rzadziej spotkać można przypadki rozrzućnego przydzielania inwestorom ziemi. Władza terenowa wyposażona została w szerokie uprawnienia kontrolne nad sposobem wykorzystania terenu przejętego na cele budownictwa. Jeśli uzna np., że zakład zaplanowany jest zbyt rozrzućnie, może po prostu nie zatwierdzić projektu.

Również na obszarze miast obowiązują opłaty za tereny przejmowane przez inwestorów. Płacą one stałe opłaty za pobór wody i inne usługi komunalne.

— Mówi się dziś o zagrożeniu środowiska również przez architekturę. Nowe osiedla mieszkaniowe są niejednokrotnie przedmiotem ostrej krytyki. Także to, co buduje się na wsi wywołuje zastrzeżenia. Czy resort, który Pan reprezentuje, może mieć wpływ na przeciwdziałanie tym zjawiskom i w jaki sposób?

— Jest to jedna z ważnych dziedzin naszych zainteresowań. Kształt urbanistyki i architektury nie da się oczywiście unormować przepisami, jakkolwiek normatywna działalność ma także wpływ na postęp w tej dziedzinie. Na przykład nowy, powiększony normatywnie urbanistyczny, rozkładający zabudowę daje projektantom znacznie większe możliwości indywidualizowania rozwiązań niż poprzednio.

W ciągu ostatnich lat zmieniły się nie tylko przepisy, ale i poglądy. Tak na przykład w projektowaniu urbanistycznym częściej operuje się dziś pojęciem zespołu osiedlowego, niż pojedynczego osiedla. Powróciła do łask ulica, jako ciąg usługowy niezależnie od budowy centrum usługowego.

Zainteresowaliśmy się szerszą dyskusją nad przyszłością naszej architektury i urbanistyki i zainteresowani jesteśmy w dalszym jej rozwijaniu. Aby sprowadzić ją na grunt konkretnych podjęliśmy próbę wyłonienia pewnych wzorców. Temu celowi właśnie służą organizowane przez nas konkursy na osiedle przyszłości. Liczymy, że w ten sposób skonkretyzują się najbardziej odpowiadające naszym warunkom, koncepcje funkcjonalne i estetyczne.

To samo dotyczy zabudowy wiejskiej. Staramy się roztoczyć ściślejszą kontrolę nad projektami typowymi przygotowywanymi na potrzeby inwestora wiejskiego. Powstają obecnie nowe projekty budynków usługowych dla ośrodków gminnych. Niektóre z nich zamierzamy upowszechniać jako wzorcowe.

Wymiana poglądów, poszukiwania wzorcowych rozwiązań, nie powinna być jednak domeną dyskusji jedynie środowisk profesjonalnie tym zainteresowanych. Odczucia i opinie odbiorców architektury mogą stać się ważną wskazówką przy poszukiwaniu najlepszych koncepcji. Dlatego, nawiązując do początku naszej rozmowy, powszechnie zainteresowanie i wrażliwość społeczna na wszystko co zagraża środowisku jest nieodzownym warunkiem jego racjonalnego kształtowania.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała:
TERESA GÓRNICKA

orzecznictwo

ODPOWIEDZIALNOŚĆ
AUTORA WOBEC
WYDAWCY DZIEŁA

Wydawnictwo „W.P.” zawarło z Marią W. umowę wydawniczą, której przedmiotem było napisanie i dostarczenie dzieła oraz przeniesienie na Wydawnictwo wyłącznego prawa wydania tego dzieła drukiem w formie książkowej. Równocześnie Wydawnictwo wypłaciło Marii W. zaliczkę w kwocie 9375 zł.

W 11 miesięcy od złożenia maszynopisu Wydawnictwo zawiadomiło Marię W., że odstępuje od zawartej umowy z jej winy, ponieważ dostarczone dzieło zawiera dużą ilość tekstów przepisanych bez zmian lub z drobnymi zmianami stylistycznymi z innych opublikowanych dzieł z zakresu prawa oraz historii prawa, nie stanowi więc oryginalnej pracy pozwanej, co było istotnym warunkiem umowy.

Następnie Wydawnictwo wystąpiło przeciwko Marii W. na drogę sądową żądając zasądzenia wypłaconej jej zaliczki.

Sąd Powiatowy oddalił powództwo uznając, że skoro wydawca nie zawiadomił pozwaną w terminie 6 miesięcy od złożenia dzieła o nieprzyjęciu go, utracił prawo żądania zwrotu wypłaconej zaliczki stosownie do postanowień § 1 umowy.

Na skutek rewizji Wydawnictwa sprawa znalazła się w Sądzie Wojewódzkim, który z kolei przekazał ją Sądowi Najwyższemu z uwagi na poważne wątpliwości prawne.

Sąd Najwyższy przejąwszy sprawę do rozpoznania, w wyroku nr I CR 723/73 z dnia 22 października 1974 r. zajął następujące stanowisko:

1. Prawo autorskie nie normuje w sposób wyczerpujący całokształtu stosunków prawnych istniejących między autorem i wydawcą na skutek zawarcia umowy wydawniczej, to też w zakresie nie unormowanym przez to prawo mają zastosowanie do tych stosunków przepisy kodeksu cywilnego o umowie o dzieło.

2. Dostarczenie przez autora dzieła, które w znacznym zakresie nie stanowi przedmiotu jego praw autorskich, a ponadto może narazić wydawcę na odpowiedzialność wobec osób trzecich, jest równoznaczne z niewykonaniem umowy wydawniczej. Uprawnia to wydawcę do odstąpienia art. 637 § 2 k.c. do odstąpienia od umowy z zachowaniem rocznego terminu przewidzianego w art. 576 k.c.

Odstąpieniu od umowy nie stoi na przeszkodzie okoliczność, że utworzył przed wydawcą przyjęty, chyba że przed przyjęciem dzieła wydawca wiedział o istnieniu wady prawnej.

W uzasadnieniu swego wyroku Sąd Najwyższy zaznaczył m. in.:

(...) Sąd Powiatowy, oddalając powództwo jedynie na podstawie przepisów prawa autorskiego, na skutek upływu 6-miesięcznego terminu § 12 umowy (...) nie miał na uwadze, że prawo autorskie nie normuje w sposób wyczerpujący całokształtu stosunków prawnych istniejących między autorem i wydawcą na skutek zawarcia umowy wydawniczej, że zatem, jak to trafnie podnosi rewizja, w zakresie nie unormowanym przez to prawo mają zastosowanie do tych stosunków przepisy kodeksu cywilnego. W szczególności Sąd ten nie rozważył, że ze względu na treść i charakter obowiązujących w tym zakresie przepisów wydawca, wobec wydawcy, wynikających z umowy wydawniczej, mają do nich w zakresie nieunormowanym prawem autorskim zastosowanie przepisy kodeksu cywilnego o umowie o dzieło, w tym również przepisy o rękojmi za wady dzieła, zawarte w art. 637 i 638 k.c. Charakter przy tym przedmiotu umowy wydawniczej sprawia, że w rachubę wchodzić mogą jedynie wady prawne dostarczonego przez autora utworu, których skutki unormowane są w art. 573-576 w związku z art. 638 k.c.

Rozważając na podstawie tych przepisów przytoczonych przez powoda stan faktyczny, należy przyjąć pogląd, że jeżeli dostarczony wydawcy przez autora utwór zawiera zaopiecznia z dzieł innych autorów bez wskazania źródeł, autor odpowiada wobec wydawcy z tytułu rękojmi za wady prawne. Prawa bowiem autorskie do fragmentów utworu obejmujących zaopiecznienie przysługują w takim wypadku osobom trzecim, które w razie wydania utworu zawierającego zaopiecznione teksty mogłyby na zasadzie art. 53 i 56 prawa autorskiego dochodzić ochrony naruszenia praw autorskich, zarówno osobistych, jak i majątkowych, przeciwko wydawcy. Taki stan faktyczny wywołuje hipotezę przepisu art. 556 § 2 k.c., wobec czego wydawcy przysługują w stosunku do kontrahenta roszczenia przewidziane w art. 637 § 1 k.c.

Jeżeli jednak fragmenty zaopiecznione stanowią znaczną część utworu, tak że ich wyłączenie znikształciłoby jego treść, a w celu usunięcia zaopiecznień jest konieczne opracowanie utworu na nowo, wydawca może na podstawie art. 637 § 2 k.c. odstąpić od umowy wprost z zachowaniem terminu przewidzianego w art. 576 k.c. Odstąpienie od umowy nie stoi przy tym na przeszkodzie okoliczności, że utworzył przed wydawcą przyjęty, chyba że przed przyjęciem dzieła wydawca wiedział o istnieniu wady prawnej.

W razie skutecznego odstąpienia od umowy przysługują wydawcy

DOKOŃCZENIE NA STR. 6

na budowach

PEWIEN MÓJ ZNAJOMY po obejrzeniu przed rokiem terenu budowy Huty „Katowice” zauważył, że gdyby budować ją metodami z okresu powstawania Huty „Lenina” nawet 50 tysięcy ludzi nie podolałoby temu, z czym radziła sobie pięćdziesiąt razy mniej ludzi (w 1974 roku) budowniczych stalowego kołosa pod Sosnowcem. Te nowe zupełnie możliwości budowania powstały przede wszystkim dzięki nie spotykanej dotychczas w naszych warunkach koncentracji najwyższej jakości sprzętu budowlanego. Gdyby przyszło mi wymienić tak zwanym jednym tchem, co w dziedzinie budownictwa w ostatnich latach zasługują na szczególną uwagę, powiedziałbym: produkcja cementu i zaraz potem właśnie maszyny budowlane.

Podstawowym producentem maszyn i urządzeń dla budownictwa jest Zjednoczenie „ZREMB”. Zjednoczenie to nadzoruje 23 wielozakładowe przedsiębiorstwa przemysłowe grupujące 48 zakładów. W fabrykach tych pracuje 28 tysięcy osób, a w ośrodkach naukowych i konstrukcyjnych „Zrembu” 2500 specjalistów. Poza „Zrembem” produkcją maszyn budowlanych zajmują się zjednoczenia „BUMAR” (maszyny do robót ziemnych i żurawie samochodowe), „MADRO” (maszyny do budowy dróg), „EMA” (elektronarzędzia i narzędzia budowlane).

Rozwojowi przemysłu maszyn budowlanych w ostatnich latach zamierzamy poświęcić osobną, obszerną publikację. W tym miejscu chcę

podać trochę szczegółów o działalności Zjednoczenia „Bumar”, które podobnie jak prezentowany w ubiegłym tygodniu „Elektromontaż”, wyróżnia się prężnością i rozmachem działania. Dla mniej zorientowanych przyda się zapewne informacja, że „Bumar” podlega nie resortowi budownictwa, a resortowi przemysłu maszynowego.

„Bumar” na rynku maszyn budowlanych, zwłaszcza światowym (nie ma w tym przesady, polski przemysł budowlany zajmuje obecnie ósme miejsce na światowej liście producentów), a drugie, co ZSRR, w krajach socjalistycznych, pokazał się tak na dobre w 1972 roku. W tym czasie nawiązana została współpraca kooperacyjna z renomowanymi fir-

mami światowymi. Wcześniej „Bumar” współpracował z znanym brytyjskim producentem żurawi firmą „Jones” i doświadczenia wyniesione z tej współpracy bardzo się przydały. Obecnie „Bumar” ma mniej lub bardziej rozwinięte związki produkcyjne z takimi znanymi firmami amerykańskimi, jak: „International Harvester Corporation” (ciągniki gąsienicowe), „Clark Equipment” (mosty napędowe), „Koehring-Mencck” (koparki uniwersalne); brytyjskimi — „Hamworthy” (hydraulika siłowa) i „Coles i Jones” (żurawie); zachodnoniemieckimi „Stetterem” (wozy do transportu płynnego betonu) oraz szwedzką firmą „Kockum Landswerk” (wywrotki przegubowe). Specjalnością „Bumaru” stanowią: koparki uniwersalne o pojemności

łyżki od 0,4 m sześć. do 2,5 m sześć, koparki ciągnikowe o mocy od 30 do 50 KM, ładowarki kołowe o mocy od 115 do 240 KM, ciągniki gąsienicowe do 285 KM mocy, wywrotki o ładowności 20 t (w przyszłości 40 t), żurawie samochodowe i samojazdy o ładowności od 6 do 40 t (w przyszłości 120 t), maszyny samojazdowe do wytwarzania i przewożenia płynnej masy betonowej oraz wozy do transportu bliskiego jezdniowego. W najbliższych latach Zjednoczenie „Bumar” zamierza tak rozwijać produkcję, by wyeliminować import maszyn, na których wytwarzaniu samo się koncentruje. Jest to, jak twierdzi się w „Bumarze”, kierunek zgodny z trendami światowymi.

J.D.

NOWY ODDZIAŁ
REGIONALNY PTE

W WOJEWÓDZTWIE WARSZAWSKIM powstał nowy ODDZIAŁ REGIONALNY Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego w Siedlcach. Oddział ten swym zasięgiem obejmuje samo miasto oraz powiaty: siedlecki, łosicki, sokołowski i węgrowski. Działająca dotychczas Rada Koordynacji Terenowej ani organizacyjnie, ani instytucjonalnie nie może już podążać za rosnącym zapotrzebowaniem na ekonomistów w tym regionie. Liczy on obecnie około 300 tys. mieszkańców i coraz intensywniej przekształca się w ośrodek przemysłowy o krajowym znaczeniu. Zatrudnienie w przemyśle w roku 1980 zwiększy się ponad dwukrotnie — do około 20 tys. pracowników. Obecnie w regionie tym powstaje 6 dużych przedsiębiorstw, w tym dwa priorytetowe: Warszawska Fabryka Pomp i Wytwórnia Lekkich Konstrukcji Stalowych „Mostostal”.

Działalność PTE w Siedlcach rozwija się bardzo dynamicznie. Rada Koordynacji Terenowej skupia obecnie 350 członków fizycznych oraz 25 członków zbiorowych. Wszelkie inicjatywy PTE dotyczące społeczno-gospodarczego rozwoju oraz szkolenia i dokształcania kadr pracowników są popierane przez władze partyjne i administracyjne miasta i powiatu, stąd też nadanie PTE w Siedlcach wyższej rangi organizacyjnej jest we wszech miar pożądane.

ACH

PTE NA ZAMOJSZCZYNIE

REGIONALNA RADA KOORDYNACJI KÓŁ PTE W ZAMOŚCIU obejmuje swą działalnością 6 powiatów — powiat i miasto Zamość, Kraśnik, Biłgoraj, Tomaszów Lubelski, Hrubieszów. Obecnie liczy ona 28 kół, 501 członków zwyczajnych oraz 20 członków zbiorowych.

W grudniu 1969 Rada zorganizowała pierwsze poważniejsze sympozjum naukowe na temat: „Osiągnięcia ekonomiczne Lubelszczyzny w XXV-lecie PRL”. W sympozjum wzięło udział 200 osób. Uczestnikami byli posłowie na Sejm PRL z terenu południowej Lubelszczyzny, członkowie egzekutywy KP, pracownicy nauki wyższych uczelni Lublina oraz miejscowi aktywi gospodarczy i przedstawiciele PTE z terenu całego województwa. Dyskusja akcentowała problemy kształtowania się rynku pracy, rozwój przemysłu, rozwój sieci komunikacyjnej, organizację skupu i przetwórstwa oraz poprawę warunków socjalno-bytowych załóg. Również wysoko — pod względem naukowym i badawczym — zostały ocenione sympozja regionalne w Biłgoraju i Tomaszowie Lubelskim, zorganizowane w latach 1971—1972.

Na wysokim poziomie zorganizowane są kursy szkolenia zawodowego. Ekonomistów rozumieją, że w rozwoju kraju i województwa, w realizacji wszystkich zadań rolnie rola nauki. Zamość w ciągu sześciu lat przekształcił 2632 osoby.

W roku 1973 odbył się kurs dla kadry kierowniczej oraz dla ekonomistów innych szczebli organizacji. W dwóch zakładach zakoficowano pierwszy etap edukacji ekonomicznej załóg (LZPT w Bodaczuwie, Zamojskie Fabryki Mebli). W 1974 r. przeszkolono 92 osoby w zakresie nowych zasad ekonomiczno-finansowych. W ramach drugiego etapu edukacji ekonomicznej prowadzi się szkolenie w dwóch zakładach (Zakłady Mięsne i Zakłady Metalowe „Spomaz”). Członkowie zarządu Rady brali udział w konferencjach naukowych w Lublinie, Chełmie, Tomaszowie Lubelskim, Biłgoraju oraz w spotkaniach Klubu jednostek inicjujących. Kola PTE aktywnie uczestniczyły w akcji poprawy gospodarki materiałowej w zakładach pracy oraz w przeglądzie poziomu i struktury zatrudnienia.

Ekonomiści południowej Lubelszczyzny podkreślają na zebraniach sprawozdawczo-wyborczych Kół PTE, że rok 1975 jest ważnym rokiem dla realizacji zadań bieżącej pięcioletki, pierwszym rokiem realizacji programu rozwoju produkcji żywności, rokiem, którego rezultaty będą miały decydujące znaczenie dla całej pięcioletki. Na podkreślenie zasługuje fakt, że w 1973 r. przyrost produkcji w 72,1 proc. uzyskany został w wyniku wzrostu wydajności pracy, a w 1974 r. w 70,5 proc. Obecnie są podejmowane nowe zobowiązania dodatkowej produkcji.

(F.O.)



Fot. A. JALOSIŃSKI

JERZY DZIECIOŁOWSKI

PRZYSTANEK „URSUS”

W STYCZNIU tego roku w ZM „Ursus” obliczono, że 508 pracowników spóźniło się 30 lub więcej minut. Przeliczając spóźnienia na robocznici i uwzględniając średnią wydajność, oznacza to w jednym tylko „Ursusie” w ciągu jednego miesiąca stratę dóbr wartości 358 tys. zł.

Są, jednak ludzie, którzy twierdzą, że tak nie można liczyć. Taśma rusza wtedy, kiedy przychodzi ostatni z obsługujących ją pracowników. Zatem na szeregu wydziałach nie pracowali przez te 30 minut nie tylko nieobecni, ale także ci, którzy dotarli na czas. Te 30 minut można więc mnożyć przez średnią wydajność i liczbę spóźnionych oraz określać w złotych, że ile by w tym czasie wyprodukowali, ale można też przeliczać na ile zmontowane ciągniki i wtedy wychodzi, że każdego styczniowego dnia zjechało z taśmy 1—2 ciągników mniej niż mogło zjechać.

ROZMOWA PIERWSZA — ZBIOROWA

— Nas dojeżdża do „Ursusa” 9 tysięcy chłopów. Z Otwocka i w ogóle z kierunku Warszawy jedzie się jako tako. Najgorzej jest z Sochaczewa i z Żyrardowa. Z Grodziska zabiera się do „Ursusa” 2,5 tys. ludzi. Tyle samo z Pruszkowa. Łowicki, którym dojeżdża pierwsza zmiana powinien być w Ursusie o 5.30, a przyjeżdża „jak przyszedł jego pora”. To nie myślisz, że to określenie, nauczylimy się go od obsługi kolejowej. Jak wypada ten 5.30, to w następny, który wychodzi z Łowicza o 4.52, jest makabry. Najbardziej ludzi denerwuje, jak jest zielony sygnał i nie nie jedzie. Naród sobaczy wtedy aż uszy widać. Kiedyś nam tłumaczono, że dopóki nie oddzieli się ruchu podmiejskiego od delektobieżnego, dopóty istnieć będą zakłócenia na liniach podmiejskich. Wtedy jeszcze nie trzeba było wyjeżdżać dwie godziny wcześniej z Żyrardowa, żeby dojechać do Ursusa. „Ursusa”? Potem rozpoczęła się okres nieustannego dokonywania pracy kolei i jest jak jest. Jest regularna, że jeśli pociąg się nie spóźnia, to i pracownicy się nie spóźniają. W ostatnim okresie nie ma innych motywacji w podaniach o rozwiązaniu umowy o pracę, jak z powodu warunków dojazdu. Jeśli jeszcze ktoś myśli, że w miarę nad tym, żeby lepiej lub gorzej, wcześniej czy później dowiedzieć ludzi do pracy, to o odwiezienie ich do domów kolej zupełnie się nie troszczy. Można zrozumieć, że nie mają możliwości przejeżdżania do domów kolej. Można zrozumieć, że przez 1,5 godziny nie ma pociągu z pierwszeństwem przejazdu i nie puszcza się jednostki podmiejskiej, której potrzeba 10 minut na przejazd z Ursusa do Pruszkowa? Żeby była jeszcze jakaś ludzka informacja. Czasem odzywają się megafony, aby powiadomić pt. oczekujących, że stoją i marzną ponieważ kolej ma inne priorytety. Między Ursusem a Pruszkowem jest wydzielony tor dla ruchu dalekobieżnego, a przejazdów pociągów towarowych, nawet w okresie dawania pierwszeństwa transportem ładunków, nie wyznaczają się na godzinę szczytu dojazdowych, więc co to za nadzórne cele sprawiają, że dziesiątki minut plyną, a pociągi ani śladu. Analiza stanu absencji wykazuje, że istnieje widoczna zależność między regularnością kursowania pociągów, a

licznością zwolnień chorobowych. Spowodowanych nie tylko pospolitymi przebiegami. Ze spóźnionego pociągu goni się do maszyny, przy maszynie goni się za minutami, które uciekły, w drodze powrotnej goni się do sklepu, żeby zjechać przed zamknięciem — to wszystko wzmacnia napięcie, pomnaża zmęczenie, osłabia uwagę i krzywa wypadków przy pracy rośnie.

Pracownicy naszego przedsiębiorstwa robili sobie masowo miniatury, fotograficzne odbitki rozkładu jazdy na swoich liniach. Teraz zainteresowanie tymi rozkładami wyraźnie zmalało. Na pociąg wychodzi się jak na tramwaj. Nastąpiła kompletna dewaluacja rozkładu jazdy. Regułą jest, że w godzinach szczytu jedzie się bez biletu. Żaden konduktor nie sprawdza. „Nie ma prawa” — nawet gdyby zdołał się przecisnąć przez upychanych ludzi.

Zawsze przed sporządzeniem nowego rozkładu jazdy Dyrekcja Okręgowych Kolei Państwowych w Warszawie uprzejmie zaprasza przedstawicieli „Ursusa” w celu wysłuchania wniosków i uwag. Po burzliwej dyskusji kolejarze gotowości rozpatrzenia postulatów, po czym jest szara rzeczywistość. Wcześniej wysłannicy składają sprawozdanie na KSR, no i oczywiście dowiadują się bardzo szybko, że „robią z ludzi balonów”.

ROZMOWA DRUGA — REFLEKSYJNA

— Faktycznie, żeby poprawić sytuację trzeba by wyrzucić część pociągów. W szczycie na obu liniach: łowickiej i sochaczewskiej jest tyle pociągów, że występuje zjawisko pracy bez rezerw. Drobną zakłócenia i rusza cała lawina spóźnień. Między Grodziskiem Mazowieckim a Warszawą Zachodnią mamy linię wydzieloną. Od 5.07 do 8.07 co 10 minut jest pociąg z wyjątkiem łuki z Pruszkowa o 7.10. Czy te pociągi się opóźniają? Opóźniają się. Fakt. O co tu jednak chodzi pasażerom z „Ursusa”? Przeważnie o te 10 minut. Przyszedł na „swój” pociąg i go nie ma. Czy jak wypadnie jeden z tych pociągów co 10 minut, to można mówić, że ta kolej jest do dupy? Nieścisły, na takie awarie trzeba być przygotowanym. Co możemy zrobić więcej na tych wydzielonych torach? Pusić jednostki co 8 minut. To da się zrobić dopiero po wprowadzeniu samoczynnej blokady i to jest góra naszych możliwości. Katastroficzny jest ten Łowicki 4.11, który powinien przejechać do Ursusa 5.30. W styczniu spóźnił się 20 razy. Drugiego stycznia maksymalne opóźnienie wynosiło 34 minuty, minimalne 4 minuty. Ale niech pan spojrz na te linie. Grubsze oznaczają pociągi z pierwszeństwem przejazdu. W szczycie rannym z kierunku Poznania do Warszawy przyjeżdża 10 pociągów dalekobieżnych. Przed podmiejskim 4.52 leci międzynarodowy z Berlina. W kilka minut po nim jest kolejny pociąg na lini. Dopóki międzynarodowy nie przejdzie, nie można pusić tego 4.52. Nie ma zwyżkowanie miejsca. W styczniu ten z Berlina był 27 razy opóźniony przy przejeździe z dyrekcji poznańskiej. Od 3 do 57 minut. I już cała zagadka wyjaśniona. Gdyby było 10 minut luzu... Nie przeczę, może na siłę dalszy ten następny. Ale tego właśnie żąda się od nas: większej częstotliwości kursowania pociągów. Na skasowanie pociągów w szczycie nikt nie pójdzie. To jest zresztą nie taka prosta sprawa. Tym 4.52 jedzie średnio 1500 ludzi. Następny po ber-

lińskim — około 1000 osób. Do jednego wszyscy się nie zmieszczą.

W ciągu doby pociągami podmiejskimi dojeżdża 200 tys. ludzi. A właściwie tyle dojeżdżało 10 lat temu, kiedy robiliśmy ostatnie liczenie. Drugiego stycznia kursowało 774 jednostek podmiejskich. To jest mniej więcej nasza dobową normą. Opóźnionych było 71. Łączny czas opóźnień — 819 minut. To daje regularność 90,8 procent. Co dziesiąty pociąg był opóźniony. Jak pan widzi, kolej ma rozbudowaną statystykę. Jeśli regularność wynosi 95 proc. uważamy, że nie jest źle. Co było przyczyną opóźnień drugiego stycznia? Zaraz popatrzmy do raportu dziennego: pęknięcie szyny na odcinku Szymanów—Błonie, zanik napięcia na stacji Miłosna, uszkodzenie blokady na stacji Okęcie, uszkodzenie jednostki przy pociągu próbnym... Pęknięcie szyny, uszkodzenie jednostki, to jest to co się powtarza najczęściej. Skąd się biorą uszkodzenia? Najwięcej uszkodzeń jest w starych, angielskich jednostkach, jeszcze sprzed wojny, które od zeszłego roku nie się stopnowo na złom. Wszystkich od razu nie możemy pociąć, bo i tak brakuje około 10 jednostek do tego co powinno być. Dlatego brakuje składów awaryjnych. Do Nasielska w składzie są dwie jednostki, do Czachówka podobnie, do Pruszkowa — również dwie jednostki w składzie na niektóre godziny. Dostawy jednostek pokrywają tylko naturalny ubytek. Radykalnie sytuacja taborowa poprawi się dopiero w przyszłym roku. Dostajemy zmodyfikowane wagony o lepszych parametrach ruchowych i trakcyjnych w takich ilościach, że te stare będziemy mogli wycofać.

Zmora są pęknięte szyny. Pęknięta szyna, to znaczy pociąg jadący po jednym torze. Trzy pęknięte szyny — w łeb bierze wszystko. Tak było 11 stycznia. Dziesiątego nie było żadnej pękniętej szyny i jak pan, widzi w raporcie ilość opóźnień była o połowę mniejsza. Nasi fachowcy od toru twierdzą, że to pęknięcie szyny następuje z powodu przedwczesnego złączenia materiału. Ja się na tym nie znam, nie jestem fachowcem. Prawdopodobnie szyny te, które są ulegające złączeniu. Kto słyszał, żeby do Warszawy przyjeżdżało 20 pociągów zwirowa ekstrak z Głębi, Gdańska, Miawy. Nic dziwnego, że materiał ulega złączeniu. Szyny, które zostały wymienione 3—4 lata temu pękają. Są specjalne ekipy do usuwania pękniętych szyn. Na tyle masowe jest to zjawisko. Tak to wygląda. Czy ja mogę teraz powiedzieć pasażerowi, że za tydzień, miesiąc będziemy jeździć regularnie? Czy ja wiem, o której pęknie szyna? Jak ja mam ten rozkład przygotować? Po każdej panu, jak to wszystko wyglądało w ujęciu syntetycznym. Chce pan grudzień? Proszę bardzo. W grudniu kursowało 22 952 pociągi. Opóźnionych było 1798. Z tego z przyczyn prowadzenia ruchu (pociąg towarowy przeszkodził) — 51 pociągów. Wydłużone wsiadanie z powodu tłoku spowodowało opóźnienia 27 pociągów, naprawa pojazdu trakcyjnego — 44 pociągi, usterki w sieci trakcyjnej — 60 składów, pęknięcie szyny — 126 pociągów, jazda po jednym torze ze względu na roboty drogowe — 462 pociągi, wypadki — 158 pociągów, usterki w zabezpieczeniu urządzeń ruchu — 38 pociągów itd. itd. Jeśli pękła szyna, rozrywa się jednostka, to są zdarzenia losowe. My tego nie jesteśmy w stanie przewidzieć w żadnej organizacji.

Są oczywiście spóźnienia z czystego niedbalstwa pracowników; ktoś zapomniiał obudzić drużynę na zmia-

ne, spóźnił się maszynista. Spora-dycznie i to się zdarza. Większość pracowników jednak się pilnuje. Zarobki wzrosły bardzo poważnie. Rzadko jest tak, że komuś zupełnie nie zależy na tej robocie. Kierownik pociągu zarabia 4 tys. zł — to się liczy. Czy nie jest aby tak, że to pasażerowie mają za nic kolejarzy? Są poddenerwowani warunkami jazdy, często dochodzi do sejsy z kierownikami pociągów, że nie wpuszczają do swojej kabiny, nie każdy kolejarz potrafi odpowiednio reagować na docinki jadących. W warunkach wzajemnych niechęci trudno o wersal, Pan myśli, że ja sam mam odwagę jeździć w mundurze!

O tym jak kursują pociągi podmiejskie w południowych godzinach nie będę mógł panu powiedzieć, bo prowadzimy statystykę tylko dla szczytów rannych. Nie rejestrujemy szczegółowo regularności jednostek podmiejskich ani w godzinach popołudniowych, ani w okresach zmian. Co proponujemy? My ruchowcy żądamy nowej techniki. Technika, technika i jeszcze raz technika. Dla 10 pociągów na dobę może nie być szybkiej łączności. Ale przy 774 niezbędna jest łączność radiowa. Inaczej jeśli coś nawali, zanim maszynista dotrze do telefonu, żądają się za nim ustawić sznur pociągów.

ROZMOWA TRZECIA — MĘSKA

— Mnie nic nie wiadomo o pękaniu szyn. Nie słyszałem. Jestem zaskoczony liczbami, które pan podaje. Sprawdzimy. W każdym razie do resortu przemysłu ciężkiego nie wpłynęły żadne informacje na ten temat, bo musiałby trafić do mnie. Może kolejarze reklamują bezpośrednio u producentów. Szyny robi Huta „Kościuszkowski” i Huta „Półk”. Dowiem się. Nie, nie ma żadnego nasilenia. Na 84 tys. ton szyn wyprodukowanych w Hucie „Kościuszkowski” w ubiegłym roku, resort komunikacji zgłosił reklamacje w stosunku do 0,26 proc. I to nie wszystkie reklamacje zostały jeszcze zweryfikowane. Czyli normalne pęknięcie, od czasu do czasu. Takie były, są i będą.

ROZMOWA CZWARTA — Z SAMYM SOBĄ

Czy rzeczywiście nie nie można zmienić w istniejącym stanie rzeczy, zanim zaczną procentować pieniądze (ciężkie) wyłożone ostatnimi czasami na usuwanie wieloletnich zaniechania na kole? Czy można informować czekających dalekiego wypadu „ich” skład i kiedy będzie następny? Można. Dlaczego Błonie ma opinię najgorszej stacji pod tym względem, a na przykład w Wołominie jest znośnie? Dlaczego, kiedy pociąg żyrardowski kończy bieg w Grodzisku, mówi się ludziom: wysiadać, jednostka dalej nie idzie i wylacza megafon?

Czy nie należałoby bezwzględnie zainteresować się nie tylko tym jaka jest regularność kursowania pociągów w szczycie rannym, ale również tym, jak ludzie wracają z pracy oraz w jakim stopniu przestrzegany jest rozkład jazdy poza szczytami, kiedy nie brak jednostek, świeci słońce i być może nie pękła akurat szyna? Wybrałem na chybił trafił cztery dni w styczniu i między godziną 11.00 a 13.00 starałem się przyjechać z Ursusa do Warszawy. Być może miałem pecha, ale raz czekałem 40 minut, raz ponad godzinę i tylko dwukrotnie 20 minut. Ani razu nie padło choćby

jedno słowo wyjaśnienia przez megafon. Podejrzewam, że są pociągi, które tylko dla statystyki figurują w rozkładzie. Mniej psułyby ludziom krwi, gdyby w ogóle ich tam nie było. Z pewnością też między 11.00 a 13.00 można było pusić awaryjną jednostkę, jeśli np. planowa uległa uszkodzeniu. Dyspozytor jest przecież wręcz zobowiązany wysłać taką jednostkę na trasę, jeśli przerwa w ruchu wydłuża się ponad 20 minut. Między godziną 11.00 a 13.00 nie mogło mu brakować taboru, bo w tym czasie kursuje o połowę mniej pociągów niż w okresie szczytu.

Czy zdrowy rozsądek nie nakazuje rezygnacji ze zwiększania częstotliwości kursów skoro primo: nie przewozi się dzięki temu większej ilości pasażerów na czas do pracy, secundo: ogranicza się wzajemnie pole manewru jednostkom, tertio: wyklucza możliwość podstawienia na okres szczytu pełnych składów, nie mówiąc o możliwości wprowadzenia do ruchu jednostki rezerwowej?

Czy przekracza ludzkie możliwości uzgodnienie poglądów pomiędzy użytkownikami i producentami szyn co do ich rzeczywistych walorów eksploatacyjnych i wyciągnięcie z konfrontacji opinii praktycznych wniosków? Ani w DOKP Warszawa nie odnotowują pęknięć szyn wyłącznie dlatego, że mają takie hobby, ani też hutnicy nie są tacy żartownisie, żeby nie wiedzieli, jak długo szyny, które produkują mogą pracować przy danym obciążeniu. Zbliżenie producenta szyn do ich użytkownika, częściej niż obecnie pozwoliłoby zapobiegać dezorganizacji ruchu na kole, skoro trudno od razu przebroić tory kolejowe na dostosowane do znakomicie zwiększonych obciążeń. A tak na marginesie, to nie pęknięcie szyny, a prace drogowe powodują co czwarte opóźnienie pociągu w ruchu podmiejskim, jak to wyraźnie wynika z cytowanej statystyki. Więc może wiedząc, że takie to a takie roboty będą prowadzone, przy bardziej elastycznie opracowanych rozkładach udało by się uniknąć znacznej części zakłóceń wywołanych tymi robotami.

Wreszcie, czy tylko kolej powinna wyjść naprzeciw postulatowi zakładów pracy? Dlaczego nie można by wprowadzić korekt do godzin rozpoczęcia pracy? W szeregu wypadków byłyby to różnice kilkunastominutowe, więc nawet dałoby się uniknąć naruszania „ludzkich przyzwyczajzeń”.

Wszystko to są zmiany organizacyjne, niezależne od losowych przypadków i nie wymagające wielkiej techniki, które pozwoliłyby nie tylko osiągać wyższe cele produkcyjne oraz nie marnotrawić środków materialnych i ludzkich sił, ale także złagodziłyby natężenie chamskiego i wzajemnych niechęci ewidentnie widocznych we wzajemnych stosunkach pasażerów i obsługi kolejowej na najbardziej przeciążonych podmiejskich liniach dojazdowych, które jest wynikiem warunków w jakich obydwu stronom przychodzi ze sobą przystawać. Ale to odrębny temat.



ABY BŁĘKITNY LEN NIE STAŁ SIĘ WIECHCIEM

WŁODZIMIERZ
KILANOWSKI

W OSTATNICH miesiącach Pani BARBARA WIŚNIEWSKA występuje w roli eksperta zagadnień etyczno-technologicznych w przemyśle lniarskim. Na pierwszym etapie omawianej działalności podjęła się, na podstawie nieprawdziwych danych, nieistniejących opinii i pomieszanym w czasie recenzji, rozstrzygnięcia problemów etycznych. Obecnie, postępując się podobną metodą, wypowiada się na temat wyboru wariantów technologicznych dla przerobu roślin włókniastych.

Ukazanie się artykułów Pani B. Wiśniewskiej na łamach poważnego czasopisma, jakim jest „Życie Gospodarcze”, wymaga zajęcia stanowiska wobec przedstawionych przez autorkę problemów.

CUDOWNE ROZMNOŻENIE SŁOMY KONOPNEJ

W artykule „Błękit kwiecia lnu” podaje się, że zbiory konopi przerabianych przez przemysł wyniosły: w 1967 r. — 137 tys. ton, w 1970 r. — 80 tys. ton, a w 1974 r. — 66—70 tys. ton. Nadal więc, mimo obniżenia ich poziomu, przewyższają one znacznie możliwości przerobienia słomy na włókno. Ze sformułowań tych wynika tendencja wykazania braku troski przemysłu lniarskiego o zapewnienie przerobu istniejącego surowca.

W rzeczywistości przemysł lniarski nigdy w swej historii nie dysponował taką ilością słomy konopnej.

Według danych opublikowanych w Rocznikach Statystycznych MPL za rok 1968, 1972 i 1974 zakupiono w roku gospodarczym 1968—87—80 tys. ton, w roku 1970—71—44,6 tys. ton i w 1971—72—81 tys. ton.

Pozostała część słomy (27 637 ton) przerabiana jest od wielu lat na włókno w gospodarstwach chłopskich Lubelszczyzny.

Stwierdzenie, że przemysł lniarski posiada nadwyżki słomy konopnej wynikało z poszukiwania przez Panią B. Wiśniewską argumentacji w dyskusji na tematy lniarskie, a mającej wykazać celowość budowy maszyn tzw. dekortykatorów.

W rzeczywistości przemysł lniarski zmniejsza od kilku lat moce produkcyjne ze względu na ograniczo-

ne zapotrzebowanie na włókno konopne. Warto tu podać, że poza dostawami włókna konopnego, pochodzącego ze skupu prowadzonego przez przemysł, rolnicy dostarczają rocznie 6—8 tys. ton włókna konopi produkowanych we własnych gospodarstwach, o czym nie wspomina już Pani B. Wiśniewska.

SŁÓW KIŁKA O LNIARSTWIE

W minionym trzydziestolecu włókna lnu i konopi stanowiły cenną pozycję w zaopatrzeniu polskiego przemysłu włóknienniczego. Ich udział w bilansie zaopatrzenia wynosił około 14—15 proc. pomimo wydatnego wzrostu w ostatnich latach ogólnej ilości przerabianych surowców włóknienniczych. Włókna te stanowią ważny czynnik w kształtowaniu się salda dewizowego przemysłu lekkiego.

Plany rozwojowe na lata 1976—1990 przewidują produkcję krajowych włókien lkowych (lnu i konopi) w następujących ilościach:

— w roku 1975 — 79 tys. ton
— w roku 1980 — 73 tys. ton
— w roku 1990 — 80 tys. ton

Nieznacznie zmniejszenie produkcji w 1980 roku jest spowodowane planowymi zmianami w strukturze asortymentowej wyrobów wytwarzanych w zakładach przemysłu lniarskiego. W okresie tym przewiduje się wyprodukowanie większej ilości przędzy z tej samej ilości włókien, przy równoczesnej zmianie jej przeznaczenia.

Dotychczas wyroby rynkowe stanowiły zaledwie 20—30 proc. ogółu produkcji przemysłu lniarskiego, ponieważ pozostała część stanowiły tkaniny techniczne przeznaczone dla innych resortów gospodarki narodowej. Do produkcji tych tkanin używano przędzy niskiej numeracji. (Nawiasem mówiąc, Pani B. Wiśniewska uznaje za włókna krajowe wyłącznie len i konopie, co oczywiście służy jej celom). Wprowadzenie włókien chemicznych produkowanych w kraju umożliwia przeznaczenie szalacich włókien lnu na produkcję poszukiwanych wyrobów, tzw. bytowych, jak tkaniny pościelowe, odzieżowe, stołowe, deko-

racyjne itp. — przeznaczone dla odbiorców krajowych i na eksport.

Przeznaczenie masy włókien dotychczas głównie zielenicowych — dekortykowanych do produkcji wyrobów rynkowych oznacza zwiększenie ilości wyprodukowanych tkanin o około 100 proc. w stosunku do obecnego poziomu, przy użyciu tej samej ilości surowca co obecnie. Ta zasadnicza zmiana wymaga oczywiście modernizacji parku maszynowego drogą wprowadzenia do produkcji zespołów przerabiających: — czesankę lnianą z uwzględnieniem przesłania na sucho średnich numerów oraz przesłania na mokro wysokich numerów przędzy,

— włókna jednopostaciowe i włókna krótkie (wyczeski i pakuly lniane) na zespołach zgrzebno-czesankowych lniarskich i wełniarskich.

Przewiduje się ponadto położenie szczególnego nacisku na produkcję przędzy i wyrobów mieszkankowych lniarno-poliestrowych, co ma duże znaczenie zarówno ze względów ekonomiczno-surowcowych, estetycznych, jak również walorów użytkowych produkowanych wyrobów. Udział w wyrobach lniarnych 30—67 proc. włókien chemicznych stanowi ważny element „wykończenia niemającego”, wysocy pożądanego przez wszystkich użytkowników wyrobów lniarnych.

Przedstawiony w dużym skrócie zarys programu produkcji lniarskiej jest ściśle powiązany z założeniami prac badawczych. Wbrew temu co pisze Pani Wiśniewska — przemysł lniarski, jak i pozostałe branże przemysłu lekkiego, posiadają jasno sprecyzowane programy działania, opracowane przy udziale placówek zaplecza naukowego i współdziałaniu wyższych uczelni. Sprawy zaopatrzenia surowcowego zostały też przedyskutowane na specjalnej sesji rady naukowej Instytutu Krajowych Włókien Naturalnych przy udziale kierownictwa Ministerstwa Przemysłu Lekkiego; programy rozwoju przemysłu dyktują postulaty dotyczące rozwiązań technologicznych.

ABC UPRAWY I PRZEROBU WŁÓKNI ŁYKOWYCH

1. Każdy włóknarz wie, że wyższe numery przędzy lnianej produkują

się wyłącznie z włókna rozzonego, a nie dekortykowanego. Dekortykator francuski pozwolił uzyskać przedzie zielenicową o numerze 430 tex; do produkcji tkanin konsumpcyjnych potrzebna jest przędza o średnim numerze 84—55 tex (Komentarz, sądzę, niepotrzebny).

2. Włókno pochodzące z dekortykatora, nawet w opinii podopiecznego p. Wiśniewskiej doc. Karasińskiego, nie pozwala na uzyskiwanie przedzie wyższej numeracji, ponieważ jest „zbyt sztywne, zanieczyszczone i charakteryzuje się niską uprzedliwością”. Na wieściach buduje więc p. Wiśniewska program pięknej uprzedliwości lnu. Skąd więc wydumana? Ona swoje koncepcje technologiczne pozostaje Jej wyłączną tajemnicą.

3. Przydatność lnu do produkcji włókienniczej uwarunkowana być musi opłacalnością jego uprawy i przerobu, co zupełnie uszło uwadze nowo kreowanego eksperta od spraw etyczno-technologicznych.

DLACZEGO ŚLANIE?

Pośród wielu metod można wyodrębnić trzy podstawowe sposoby wydobycia włókna lnianego: rosenie sposobem moczenia, rosenie sposobem siania i dekortykacja. Prace nad dekortykacją prowadzono w Polsce od 1932 roku i przerwano je w roku 1970, tj. po 38 latach, wówczas gdy zarówno w Europie wschodniej jak i zachodniej uznano, że metoda ta jeszcze dzisiaj nie nadaje się do wdrożenia przemysłowego. W pracach badawczych istnieje zasada przerwania badań, gdy pojawiają się wątpliwości co do spodziewanych rezultatów, aby nie powiększać bezcelowo wydatków sum na nierentowne wydatki. W przypadku jednopostaciowego włókna dekortykowanego nie było przyspęszce, ale realne wyniki, w postaci prób przedzielenia dyskusyjnej metody pod względem ekonomicznym i technologicznym. Nie można więc przyspieszyć rozwiązań technologicznych opierać na metodzie, która w praktyce nie istnieje.

Nie można też zakładać dalszego stosowania metody rosenia w wo-

dzie ciepłej; na wyprodukowanie 1 kg włókna trzeba zużyć 5,8 kg węgla oraz 1,4 kWh energii elektrycznej, trzeba też budować lub konserwować baseny. Do moczenia konieczne jest też 50 ton wody na każdą tonę włókna. Koszt oczyszczania wód poroszeniowych wynosi 3,50 zł za m sześć. Rodzaj pracy przy obsłudze basenów roszarniczych należy do najniebezpieczniejszych: ludzie skazani są na ciężką pracę fizyczną w obłokach pary, w zaduchu zwałającym z nóg. Nie wiem, czy Pani B. Wiśniewska przechodziła kiedyś około oddziału basenów. Kobiety i mężczyźni tam zatrudnieni cuchną z daleka. Nie pomoże tutaj ani higiena osobista, ani częste kąpiele.

Stosując metodę rosenia gospodarka narodowa traci przez cały okrągły rok — niezależnie od pogody — 200—500 zł na każdej tonie przerabianej słomy.

Metoda siania stała się ponownie modna od czasu wprowadzenia kombajnu do sprzętu lnu. Kombajny lniane, podobnie jak zbożowa, młocą (odziarniają) len na polu. Należy tu zaznaczyć, że odziarniarka jest takim samym przeżytkiem jak młocarnia zbożowa, a w Polsce dotąd nie znalazł się dziennikarz, który by zalecał stosowanie młocarni zamiast kombajnów, stwierdzając równocześnie, że od ich użycia zależy ilość nasion słewnych.

Kombajn, wyrzucając len, układa słomę w warstwy na polu. Jeśli dodamy do nasion słewnych lnu 20 kg trawy i wysiejemy je razem z lmem, wówczas lniśko będzie równocześnie łąką przydatną do siania. Wystarczy 4 roboczo-godziny dodatkowej, aby przy pomocy maszyn Karat 1 i Karat 2 (konstrukcji IKWN) słomę lnianą odziarnioną zamienić w siankę gotową do dostawy. Jakże to wywołuje skutki techniczno-ekonomiczne w rolnictwie?

Opłacalność lnu sianego i nieodziarnionego w cen 1971 r. w zł/ha

Wyszczególnienie	Len nieodziarniony	Len siany
Nakłady brutto	10 350	11 120
Wartość produkcji brutto	12 470	19 580
Produkcja czysta	2 120	8 460
Opłacalność	120,5	177,5

Udział kosztów surowca w całkowitym koszcie przerobu jest w przemyśle lniarskim bardzo wysoki (*). Uniemożliwia to poprawę opłacalności uprawy poprzez podwyższenie cen skupu słomy lnianej. Prowadziłoby to prostą drogą do wzrostu kosztów produkcji przemysłowej.

Ślanie zwiększa konkurencyjność lnu w stosunku do innych roślin uprawnych i zapewnia jego zwiększoną opłacalność. Zrozumieli to bardzo szybko nasi sąsiedzi z południa i zachodu. Pomimo że liczba ludności rolniczej na 100 ha (rak do pracy) jest znacznie mniejsza w NRD i Czechosłowacji niż w Polsce, stosuje się tam ślanie, korzystając z maszyn zapewniających kompleksową mechanizację sprzętu.

Należy tu wyjaśnić, że Instytut od lat nie zajmuje się udoskonaleniem rosenia metodą siania. Obecnie i przed laty działa ten sam grzyb Cladosporium herbarum, lecz bez udziału węgla i energii elektrycznej. Praca inżynierów i techników polega na zmechanizowaniu wszystkich czynności związanych ze ślaniem.

Przebadano jednak formy organizacji zastosowania tej metody. Wiadomo, że usługi dla wsi stanowią jedno z podstawowych zadań, jakie obowiązuja instytucje współpracujące z przemysłem. Z obserwacji wynika, że najbardziej korzystne wskaźniki eksploatacyjne uzyskały maszyny będące w gestii zakładów roszarniczych. Rozważa się więc możliwości uruchomienia w zakła-

dach lniarskich wydziałów usług plantacyjnych obejmujących usługi w wyrzynie, przetwarzanie, wiązanie słomy i sukcesywny odbiór surowca przez zakłady. Powyższe umożliwi też uprawę lnu w gospodarstwach uspołecznionych w szerszym niż dotychczas zakresie.

Ślanie daje już dzisiaj wymierne korzyści zakładom przemysłowym. Na każdej tonie słomy sianej zakład roszarniczy zarabia 600—2000 zł. Dla przykładu podaje się, że w niekorzystnym roku 1974 wartość włókien uzyskanych ze słomy moczonej wynosiła 7 904 zł, a ze słomy sianej 9 976 zł (wg danych dostarczonych przez Zakład Roszarnictwa w Stęszewie).

Decydującym argumentem przemawiającym za wprowadzeniem ślania jest jego wysoka opłacalność. W Europie Zachodniej przeciętny zakład stosujący ślanie produkuje ok. 40 ton włókna na 1 zatrudnionego rocznie, zakład moczeniowy natomiast, posiadający zagregowane urządzenia, daje na 1 zatrudnionego zaledwie 28 ton włókien rocznie.

W czasie ślania słoma traci na wadze około 50 proc. swojej masy i znacznie zmniejsza objętość, co ma niebagatelne znaczenie dla rozładunku szczytu transportowego, występującego w rolnictwie w okresie jesienno-zimowym. Zmniejszenie masy przewożonego surowca o kilkadziesiąt tysięcy ton ma również swoje pozytywne dla całej gospodarki narodowej.

IDEOLOGIA CZY TECHNIKA?

Specjalnego omówienia wymaga przytoczony w artykule P. Wiśniewskiej przykład rozwiązań stosowanych w ZSRR. Uprawa lnu w ZSRR jest prowadzona głównie w północno-zachodniej części RFSSR. Każde dziecko w Polsce wie, że jeszcze na rodzimej ziemi białostockiej jest krótsze lato, tzn. krótszy okres wegetacji roślin niż w zachodniej części naszego kraju. W warunkach klimatycznych Związku Radzieckiego len nie może przebywać zbyt długo w polu, gdyż trafia na szybko przychodzący, niesprzyjający okres przedzimowy. W kolechozach radzieckich produkowane siance przerabiała się również na włókno. Skrócony okres wegetacji i dodatkowa robocizna przeznaczona na produkcję włókna, przy mniejszej niż w Polsce obsadzie ludności rolniczej, powodują, że towarzysze radzieccy muszą szukać innych rozwiązań techniczno-organizacyjnych niż stosowane w krajach Europy środkowej.

KACZKA UCZONA CZY DIENNIKARSKA?

W swoich wypowiedziach nie ustosunkowałem się do spraw poruszonych na wstępie artykułu p. Barbary Wiśniewskiej. Nie wydaje się bowiem celowe przekonywanie opinii publicznej, że prace badawcze należy przerwać wtedy, gdy nie dają spodziewanych rezultatów.

Należy jedynie ubolewać, że nie powstały warunki do wcześniejszego ich przerwania.

Mam nadzieję, że przedstawione przeze mnie argumenty, przemawiające za utrzymaniem uzasadnionych rozwiązań technologicznych oraz ogólnej polityki surowcowo-asortymentowej lniarstwa znajdą u Czytelników aprobatę i zrozumienie. Kaczka naukowa okazała się jeszcze jedną kaczka dziennikarską.

* W 1972 r. wynosił on 83,7 proc.

raport w sprawie transportu

ADAM
SZEWCZUK

NIEZBĘDNE ZMIANY ORGANIZACYJNE

PUBLIKOWANY w kilku numerach „Z.G.” raport w sprawie transportu samochodowego (nr 2, 3, 5, 6 z br.) sygnalizuje bardzo istotne zagadnienia dla usprawnienia funkcjonowania transportu, a jednocześnie zmusza do pewnych gospodarczych refleksji. Jest oczywiście, że przyjęte zasady i formy organizacji w transporcie rzutują na funkcjonowanie przedsiębiorstw transportowych, jakości świadczonych przez nie usług oraz korzyści płynące dla gospodarki narodowej.

Obecnie jesteśmy na etapie, kiedy w miarę poznawania mankamentów organizacyjnych w transporcie, staramy się je eliminować. Jedną z tych dróg jest proces integracji poszczególnych gałęzi transportu. Można wymienić w transporcie cztery płaszczyzny integracyjne: integrację techniczną, eksploatacyjną, ekonomiczną i organizacyjną. Każda z tych płaszczyzn integracyjnych posiada różne przedziały czasowe działania oraz inne przedziały czasowe dla adaptacji tego działania. Przykładem, jak trudne i długotrwałe jest to działanie, może być fakt, że dotychczas nie udało się wprowadzić jednolitej taryfy przewozowej dla wszystkich gałęzi transportu.

W naszym systemie transportowym bardzo ważną rolę odgrywa transport samochodowy. Należy stwierdzić, że zakres uprawnień i swobody działania przedsiębiorstw transportu samochodowego w naszym modelu jest jeszcze zbyt mały. Na przykład, w dziedzinie planowania: wielkości rzeczowe dotyczące ton, tonokilometrów, pasażerów, pasażerokilometrów, tj. podstawowych kategorii wyrażających produkcję tego przedsiębiorstwa, oparte są na wielu wskaźnikach, jak przebieg w kilometrach, wydajność w tonach, tonokilometrach, pasażerach, pasażerokilometrach, na 1 tonę lub 1 miejsce. Inwentaryzacje, wykorzystanie taboru, jego przebiegu i ładowności, szybkość techniczna i eksploatacyjna, czas przejazdu itp. Wskaźniki te traktowane są nie jako narzędzie pomocnicze przy analizie działalności, lecz jako fundamenty lub elementy planu. Kierownictwo przedsiębiorstwa transportu samochodowego często sztucznie nagina swą działalność do wykonania wskaźników planu, nieraz wbrew potrzebom życia gospodarczego. Robi się wszystko, aby np. wykonać dyrektywny wskaźnik przewozu w tonach, podczas gdy usługobiorcy do-

magają się przewozić lekkich ładunków na dalekie odległości. A przecież z punktu widzenia celu działalności przedsiębiorstw transportu samochodowego istotne jest przede wszystkim pełne, efektywne i dobre jakościowo pokrycie potrzeb przewozowych gospodarki narodowej i ludności a nie tylko wykonanie wskaźników planistycznych.

Wydaje się, że należy uprościć system wskaźników planistycznych, tak, aby przedsiębiorstwa transportu samochodowego mogły w pełni realizować cel, dla którego zostały powołane. Stąd więc nie należy zostawiać przedsiębiorstwom więcej jak dwa wskaźniki dyrektywne planu, np. kwota zysku i kilometry przebiegu, a resztę wskaźników traktować jako pomocnicze narzędzia analizy działalności przedsiębiorstwa. Przedsiębiorstwom transportu samochodowego potrzebna jest duża doza elastyczności w działaniu, zgodnie z potrzebami usługobiorców, do celu zaspokajania potrzeb przewozowych gospodarki narodowej i ludności.

Wiodącym przedsiębiorstwem w transporcie samochodowym jest Państwowa Komunikacja Samochodowa, której należy poświęcić wię-

cej uwagi. Z roku na rok obserwuje się wzrost przewozów ładunków i pasażerów, którym powinien towarzyszyć ciągły postęp organizacyjny-techniczny w ich realizacji, zapewniający uzyskanie odpowiedniego standardu usług. Działając w warunkach posiadanych aktualnie wyposażenia techniczno-eksploatacyjnego i struktury organizacyjnej zarządzania, kierowania i kontroli, PKS nie tylko nie ma możliwości ilościowego zaspokojenia potrzeb przewozowych, ale nie zapewnia także odpowiedniego standardu świadczonych usług przewozowych.

Uprawnienia organizacji i zarządzania w pionie PKS powinny zmierzać przede wszystkim do:

- sukcesywnego wydziałania z oddziałów mieszanych przewozów pasażerskich i tworzenia oddziałów autobusowych,
- wzmocnienia komórek przewozów pasażerskich w oddziałach mieszanych, a nawet wydziałenia pionu przewozów pasażerskich podporządkowanego zastępcy dyrektora d/s przewozów pasażerskich,
- wydziałenia pionu przewozów pasażerskich w zarządcach wojewód-

kich przedsiębiorstw PKS i podporządkowania go zastępcy dyrektora d/s przewozów pasażerskich oraz wzmocnienia komórek organizacji i kontroli przewozów,

— utworzenia w wydziałowym pionie przewozów pasażerskich w zjednoczeniu PKS — komórki sztabowej, zajmującej się przede wszystkim organizacją przewozów i funkcjonowaniem komunikacji autobusowej, opracowywaniem koncepcji rozwojowych transportu pasażerskiego oraz układów połączeń i systemów komunikacyjnych, jak również wyrażaniem postępowych metod programowania i organizowania przewozów,

— powołania w każdym oddziale PKS komórki sztabowej do opracowywania wniosków do URJ i przeprowadzania sukcesywnych badań w zakresie kształtowania się potoków pasażerskich,

— powołania w każdym oddziale PKS komórki sztabowej, zajmującej się badaniem i usprawnianiem systemu informacji dla potrzeb sterowania produkcją transportową oraz przygotowywania oddziału do stopniowego wprowadzania EMC.

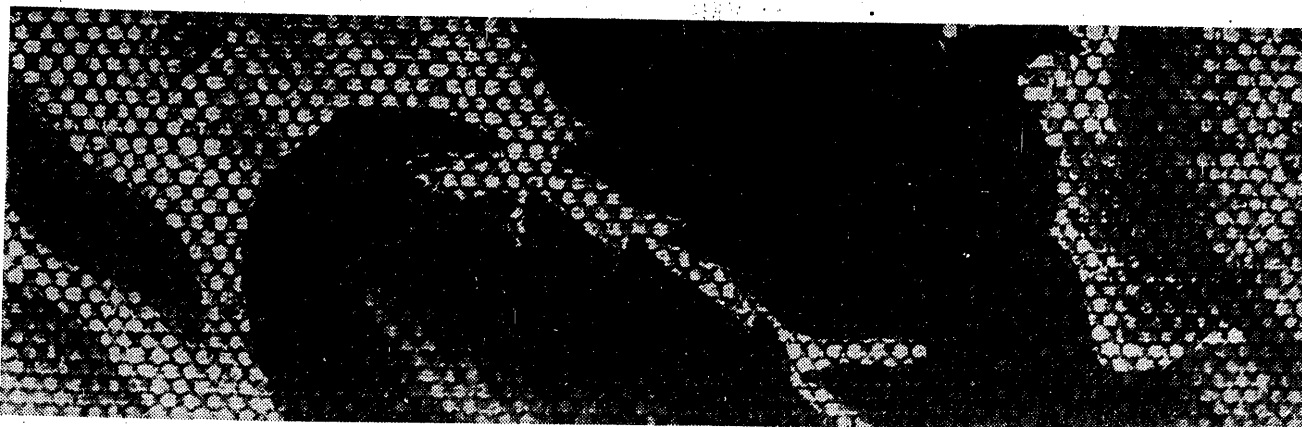
W zakresie przewozu ładunków wskazane są następujące działania: — rozwijanie w większym niż dotychczas stopniu przewozów zorganizowanych, a przede wszystkim scentralizowanych (pełne przejęcie przewozu gazów technicznych, obsługa torów ogólnego użytku itp.),

— zwiększenie stopnia wykorzystania taboru samochodowego i efektywności przewozów, w szczególności w relacjach międzypowiatowych (łączenie ładunków),

— zwiększanie efektywności przewozu ładunków głównie przez wzrost wykorzystania ładowności i przebiegu taboru samochodowego,

— wzmocnienie działalności koordynacyjnej w przewozach ładunków przez rozwój i rozszerzenie zakresu działania dyspozytorów rejonowych i wojewódzkich.

Osobne zagadnienie stanowią przewozy kontenerowe. I tu niezbędne są takie działania, jak mechanizacja prac ładunkowych i lokalizacja urządzeń przeładunkowych w miejscach gwarantujących optymalne ich wykorzystanie, czy uwzględnienie w planach inwestycyjnych niezbędnych nakładów na zakup zmechanizowanego sprzętu przeładunkowego w związku ze stale zwiększającą się ilością kontenerów w obrocie.



BRANŻOWY WCIAŻ PRZED SPOŁECZNYM

BARBARA WIŚNIEWSKA

KIEDY EKSPERT jednoznacznie negatywnie ocenia działalność publikację, większość z nas skłonna jest zaufać rzeczoznawcy. Zwłaszcza gdy przemawia tak gromkim głosem i gdy jest — ni mniej ni więcej — tylko dyrektorem Instytutu Krajowych Włókien Naturalnych, placówki o resortowej randze.

I pewność siebie i wysoka godność naukowa mogą jednakże nie wystarczyć, gdy zawodzi argumentacja merytoryczna.

Wyjściową tezę swojego artykułu o słabości pierwszego ognia przetwórstwa lnu i konopi, tj. krajowej bazy surowcowej podbudowałam danymi z Rocznika Statystycznego 1973, (str. 264). Doc. WŁODZIMIERZ KILANOWSKI totalnie kwestionuje wiarygodność tych danych. Cytując je, sam jednak zaznacza, że dotyczą zbiorów; wielkości zbiorów przeciwnie stawia liczby dotyczące ilości słomy konopnej zakupionej przez przemysł, posługując się na dodatek danymi z innych lat według rocznika MPL. Nie widzę sensu prostowania tych nieścisłości, gdyż tezę wyjściową mojej publikacji uzasadnia także wiele innych danych, np. o zmniejszeniu cen skupu kontraktowanej słomy i włókna konopi; ceny słomy zmniejszyły się z 3017 zł/q w 1965 r. do 2587 zł/q w 1971 r.

Do czego to doprowadziło, można się dowiedzieć ze źródła, którego wiarygodności doc. Kilanowski nie będzie już chyba podważał, jest nim bowiem XX rocznik prac Instytutu Krajowych Włókien Naturalnych, (str. 336). Cytuję: „Konsekwencją obniżek cen zbytu włókien konopnych były obniżki cen skupu słomy konopi. Pociągnięcia te przyczyniły się z jednej strony do zlikwidowania ponadnormalnych zapasów słomy konopnej, z drugiej jednak — powodując niezwykle ostre zmniejszenie się opłacalności i dochodowości uprawy konopi, przyczyniły się do bardziej silnego ograniczenia obszaru uprawy, a co za tym idzie — dostaw słomy konopnej do rolników nie zapewniających możliwości roszarniczego przerobu konopi na dotychczasowym poziomie”.

Ze względu na znaczenie, jakie ma teza wyjściowa mojego artykułu, kwestionowana tak silnie przez doc. Kilanowskiego, powolałam się na inną jeszcze publikację IKWN.¹⁾ Cytuję jej fragment: „W roku 1970 wystąpił silny spadek cen konopi oraz obniżka cen skupu (...) Zmiany te spowodowały, że wartość produkcji z ha zmalała niemal o 30 proc.”.

Doc. Kilanowski zapewnia: „przemysł lniarski zmniejsza od kilku lat moce produkcyjne ze względu na ograniczone zapotrzebowanie na włókno”. W chwili później dowodzi: „włókna te stanowią ważny czynnik w kształtowaniu salda dewizowego przemysłu włókienniczego”. Ten drugi pogląd doc. Kilanowskiego potwierdza opinia innego eksperta IKWN: „Ogólnie biorąc, produkcja lniarsko-konopna spotyka się obecnie ze wzmożonym popytem na światowych rynkach surowców włókienniczych, półfabrykatów oraz wyrobów finalnych, jak również produktów sprężonych (nasiona)”.

Lniarstwo jest jedyną gałęzią włókiennictwa, która może mieć w kraju silne zaplecze surowcowe. Za celowością jego holubienia przemawiają opinie m. in. specjalistów IKWN.

Np. Notatki Dokumentacyjne IKWN²⁾ informują o szczególnym zainteresowaniu klientów z krajów EWG, USA i Japonii wyrobami z domieszką angielskiego „linronu” (nowaliki technologicznej anglijskiej lniarstwa). Cytuję: „bardzo poszukiwane są na rynku również tradycyjne wyroby lniane uszlachetnione najnowocześniejszymi apreturami, a zwłaszcza te, które — zachowując cechy naturalnego surowca — mogą konkurować pod względem jakości i wykończenia z artykułami wytworzonymi z włókien syntetycznych”. Tendencję tę wspomniana publikacja uzasadnia przyspieszeniem syntetykami rynków w krajach o wysokim poziomie dochodów ludności.

Odpowiednikiem angielskiego „linronu” jest u nas włókno lniane typu „milan”. Od 3 lat jednakże przemysł lniarski nie może wskazać roszarni o stanie technicznym, umożliwiającym zakończenie badań nad „milanem” w skali przemysłowej, chociaż inne gałęzie włókiennictwa: wełniana, bawełniana i dzianinowa są bardzo zainteresowane podjęciem jego produkcji.

Czy nasze lniarstwo przygotowuje się w ogóle do sprostanienia popytowi na jego wyroby w kraju i w eksporcie? Z uwagi m. in. na tendencję do ograniczania chałupniczej produkcji włókien lnu i konopi oraz potwierdzone przez doc. Kilanowskiego ograniczenie potencjału produkcyjnego w roszarniach, zajmowałam się w swojej publikacji wyłącznie tymi aspektami programu rozwoju lniarstwa, które bezpośrednio wiązały się z tym tematem. Doc. Kilanowski omawia zupełnie inny fragment tego programu. Przedstawiam więc w tabeli najważniejsze dane ilustrujące tendencję rozwojową w lniarstwie:

	1970	1975	1980
Wartość produkcji ogółem	100,0	144,3	208,7
z tego wyrobów:			
tradycyjnych	100,0	122,3	160,8
substytucyjnych	100,0	781,7	1592,5

Tabele te odtwarzam na podstawie programu rozwoju lniarstwa przedstawionego przez dyrektora naczelnego Zjednoczenia Przemysłu Lniarskiego Tadeusza Pytla. Doc. Kilanowski i T. Pytel, przedstawiając program rozwoju tej gałęzi przemysłu utożsamiają produkcję wyrobów substytucyjnych z typowo chemiczną w rodzaju: nici syntetycznych i włókien oraz wykładzin podłogowych. W istocie tylko folie polipropylenowe (inwestycja w Gnaszynie) mają charakter produkcji substytucyjnej, tj. zastępującej chemiczną tradycyjne wyroby lniarskie. Z pewnego punktu widzenia taki charakter ma też produkcja włókien (wyłącznie z syntetyków), zastępujących tzw. włosiankę krawiecką. Natomiast wykładziny podłogowe (inwestycja w lublinieckim „Latexie”) to produkcja typowo chemiczna, o przewadze (70 proc.) nietypowych dla lniarstwa materiałów.

Warto zwrócić uwagę, że Zjednoczenie Przemysłu Lniarskiego jest tylko jednym z producentów nici; drugim jest przemysł bawełniany, trzecim — jedwabniczy. Tymczasem wytwórnia nici syntetycznych w Nowej Soli, wybudowana przez ZPL ma charakter kompleksu gospodarczego i rangę największej inwestycji branżowej w tej pięcioletce. Inwestycje te są niewątpliwie potrzebne z punktu widzenia włókiennictwa i rynku. Podjęcie ich dowodzi jednak, że to nie brak środków uniemożliwił ZPL wzmocnienie słabego ognia w przetwórstwie włókien lykowych w tej pięcioletce. O jego zaniedbaniu zdecydował wybór kierunków inwestycji, zmierzający, jak widać z danych, do maksymalnego zastępowania produkcji lniarskiej — chemiczną, czyli przeciwną do tendencji rysujących się w popycie.

Z punktu widzenia opłacalności lniarstwa, której w swoim artykule doc. Kilanowski poświęca tak wiele uwagi, unowocześnienie techniki i technologii przetwórstwa włókien jest zaś sprawą zasadniczą. Temat to bardzo rozległy, toteż tylko w największym skrócie zaznaczę, że decyduje o niej w dużym stopniu poziom techniczny — technologiczny przetwórstwa i sposób zagospodarowania odpadów. Dość wspomnieć o paździerzach — cennym substytucie drewna, o możliwości wykorzystania liści konopi do celów paszowych, znaczeniu nasion konopi dla różnych przemysłów itp.

Doc. Kilanowski twierdzi: „Przydatność lnu do produkcji włókienniczej uwarunkowana być musi opłacalnością jego uprawy i przerobu, co zupełnie uszło uwadze nowo kreowanego eksperta od spraw etyczno-technologicznych”. Tym stwierdze-

niem Autor sprowadza znaczenie lnu w naszej gospodarce tylko do przydatności tego surowca dla produkcji włókienniczej. A następnie — omawia bądź koszty uprawy, bądź koszty surowców naturalnych przez przemat opłacalności technologii wykorzystania włókna ze słomy lnu i konopi, podczas gdy są one tylko elementem kosztów przerobu w ważnej wprawdzie — wstępnej — fazie pierwszego ognia przetwórstwa. Dalsze to odpaździerzenie, uszlachetnianie włókna uzyskanego różnymi technologiami ze słomy, utylizacja paździerz i pyłów tzw. szlifarskich, przedzielenie, tkanie i wykańczanie oraz utylizacja odpadów powstałych poza pierwszym ogniem przetwórstwa.

Technologie stosowane w tej fazie, którą omawia doc. Kilanowski, mają naturalnie duże znaczenie z punktu widzenia kosztów uzyskiwania włókna ze słomy. Nie mają one natomiast wpływu na opłacalność uprawy, która zależy od wysokości plonów z ha. Przemysł może również wpływać na nią, ponieważ uprawa lnu i konopi prowadzona jest poprzez kontraktację. Opłacalność uprawy wyrażona jest w cenie skupu płaconej plantatorowi. Udział natomiast ceny skupu w cenie zbytu sięga ok. 40 proc. tej, jaką płaci przemysł agendum Centrali Skupu Surowców Włókienniczych i Skórzanich. W cenie zbytu ok. 20 proc. przypada na koszty kontraktacji i odziarniania, następną pozycją są koszty transportu (b. wysokie), płace i ubezpieczenia pracowników skupów skupów.

W publikacji na łamach „ZG”, po wykazaniu słabości roszarniczego ognia i negatywnych jego konsekwencji społeczno-gospodarczych sformułowałam myśl następującą: obecnie, zamiast wzmocnić pierwsze ogniwo przetwórstwa surowców naturalnych, przemysł lniarski za namową, a niewątpliwie i aprobatą niektórych naukowców, zmierza do zastąpienia jego brakujących elementów — technologią naturalnego rosznienia. Znana praojcom, eliminuje roszarniane ogniwo, uzależnia jednak zbiory i ich wartość technologiczną od pogody. Kończący wniosek był apelem O PODPORZĄDKOWANIE RACJI BRANŻOWEJ — INTERESOWI SPOŁECZNEMU I GOSPODARCZEMU PRZY WYBORZE KIERUNKÓW INWESTYCJI W LNIARSTWIE I OKREŚLANIU KIERUNKÓW PRAC NAD UNOWOCZESNIENIEM TECHNIKI I TECHNOLOGII. Nie trudno dostrzec, iż uwagi mojego polemisty dobrze ten wniosek podbudowują, są bowiem przykładem wąskobranżowego traktowania problemów lniarstwa, nie liczącego się z interesem ogólnogospodarczym i społecznym.

Element ryzyka społecznego i gospodarczego, z jakim wiąże się masowe stosowanie u nas technologii słańcowej, doc. Kilanowski całkowicie np. wyeliminował z rachunku opłacalności słańcowych metod. Powołuje się na przykłady rosznienia naturalnego we Francji i innych krajach zachodniej Europy, zapominając dodać, iż są to kraje o innym klimacie. Nie ma więc tego ryzyka? Posłuchajmy, co mówi na ten temat „Poradnik roszarnika”³⁾ „Pod wpływem częstych zmian czynników meteorologicznych, a zwłaszcza opadów w czasie trwania procesu rosznienia, raz mają przewagę grzyby, raz bakterie, a wśród nich to jeden, to drugi”. Dalej: „Zmienność warunków wilgotności i temperatury powietrza sprawia często, że słoma lniana roszona sposobem stania daje niekiedy bardzo niskie efekty technologiczne”.

Pomijając ten ważny ze społecznego i gospodarczego punktu widzenia element, doc. Kilanowski przedstawia słańce — roszarniom, z których większość jest w wieku emerytalnym. A przecież — doc. Kilanowski jest autorem wielu prac o technologiach uzyskiwania włókna lnu i konopi ze słomy. W tej książce, na jaką się powołałam w kwestionowanym przez eksperta artykule (O uprawach konopi) można znaleźć m.in. opis wielu interesujących metod, umożliwiających zmniejsze-

nie wysokiej obecnie uciążliwości roszarnianych prac, zmniejszenie uciążliwości roszarni dla otoczenia, ich wodochłonności, poprawy warunków technologicznych włókien itp. Oczywiście warunkiem ich stosowania jest unowocześnienie przetwórstwa.

Czyż mam więc odpowiadać doc. Kilanowskiemu jego własnymi argumentami?

Ekspert przedstawia rachunek opłacalności słańcowej metody na podstawie wyników uzyskanych w Stęszewie. A tamtejsza roszarnia jest poligonem doświadczalnym IKWN, otoczoną plantacją o 2000 ha. Z racji choćby bliskiej odległości plantacji do roszarni i wielkości tej plantacji wyniki uzyskane w Stęszewie nie są typowe. Czy można poważnie liczyć, że podobne uda się osiągnąć w naszych normalnych warunkach uprawy?

Mamy w kraju 170 tys. plantatorów. Wielkość przeciętnej działki wynosi 0,9 ha. Dla porównania: w CSRS 28,1 ha, w NRD 30 ha, a w niektórych rejonach nawet 100 ha. Inne niż u nas stosunki własnościowe na wsi niewątpliwie ułatwiają prawidłową rejonizację plantacji. Jak poradzić sobie z tym u nas?

Na razie też mamy wydajność z ha o połowę niższą w porównaniu z krajami zachodniej Europy, a także w porównaniu z NRD, CSRS i Węgrami.

Nawiasem mówiąc, Instytut Krajowych Włókien Naturalnych w Poznaniu odpowiada — statutowo! — za zwiększenie wydajności z ha, na co ma wpływ agrotechnika i rodzaj nasion. IKWN dysponuje przeciw kilkoma stacjami doświadczalnymi w różnych województwach. I choć wydawałoby się, że głównym ich zadaniem jest hodowla nowych odmian lnu i konopi, a dorobkiem wysoka wydajność na plantacjach tych roślin, to jednak nie o wydajności g/ha na tych plantacjach informuje praca IKWN „Dzieje, organizacja, rozwój”, wydana w Roku Nauki Polskiej. Aż w głowie się kręci przy tej lekturze. Publikacja ta bowiem przy prezentowaniu dorobku każdej ze stacji doświadczalnych IKWN informuje o osiągniętej wydajności g/ha buraka cukrowego i 4 podstawowych zbóż, omawia nawet osiągnięcia w hodowli bydła, a — nie wspomina o dorobku w podstawowej działalności.

A pewno ten dorobek jest duży i przyswojenie go indywidualnym plantatorom może przyczynić się wcale do zwiększenia wydajności, co w tym przypadku jest niemal jednoznaczne ze zwiększeniem opłacalności tych upraw z punktu widzenia plantatora, przemysłu i gospodarki, jak również opłacalności mechanizacji.

Doc. Kilanowski, lansując metodę słańcową, wiąże główne nadzieje z kombajnami lniarskimi, które uproszczą zbiory i zmniejszą ich pracochłonność. Czy będziemy te kombajny stosować na 0,9 ha poletkach, czy mamy je produkować sami — kiedy? — czy importować, kto poniesie nakłady na ten cel — tego się z jego publikacji nie dowiadujemy. A o to właśnie chodzi i na to chciałam zwrócić uwagę, pisząc pierwszy artykuł, aby przy próbach rozwijania nad wyraz skomplikowanych w naszych warunkach spraw lniarstwa nie przyjmować przesadnie ograniczonego punktu widzenia, lecz

uwzględniać całą ich złożoność, wzajemne związki między indywidualnym rolnikiem a wielkim przemysłem i gospodarką oraz nasze konkretne warunki działania. Mój polemista, zamiast tej cechy tak niezbędnej w rozumowaniu ludzi nauki, mimo iż nawet w środowisku naukowym bynajmniej nie ma zgody co do tego, iż są to racje najlepsze. Ale oponentów doc. Kilanowski zbywa pogardliwym machnięciem ręki. Taki jest np. jego stosunek do dekortykacji. Tymczasem przerwane, zdaniem doc. Kilanowskiego w 1970 r. prace nad nową technologią uzyskiwania włókna ze słomy lnu i konopi, podjął przemysł lniarski we własnym zakresie w toruńskiej roszarni. Zainteresowanym wynikami tych prac i wnioskami, jakie nasunęły, wskazuje źródło: XX Rocznik prac IKWN. Przy okazji zaznacza, że z tymi wynikami każdy może stwierdzić, że żaden z sześciu autorów, wypowiadających się na ten temat nie nazywa się Karasiński.

Len jest naszym wielkim atutem. Zastępowanie chemicznymi surowcami tradycyjnych jest więcej niż wskazane w artykułach zaopatrzonych materiałowego (np. zamutki dla górnictwa). Zupełnie inaczej przedstawia się jednak rzecz z wyrobami rybnymi.

„Cecha nowoczesności związana z włóknami syntetycznymi traci na znaczeniu. Preferencje konsumentów przesuwają się na cechy higieniczności i częstokroć cecha ta równoważy lub przeważa”.

Surowce naturalne lniarstwa mają bezcenną cechę — wysoką higroskopijność, jakiej są pozbawione syntetyki. Dlatego tak ważne jest, aby przy wyborze kierunków inwestycji uwzględniać tendencję w popycie na rynku własnym i zagranicznym. Wyroby lniane przeżywają na nich renesans, my zaś dla rozwoju tego przemysłu mamy własne zaplecze surowcowe. Żaden kraj posiadający bazę surowcową nie osłabia dziś przemysłu opierającego się na tej bazie.

¹⁾ Antoni Nowak: Ekonomia produkcji słomy, włókna lnu i konopi w kraju i na świecie. Wyd. IKWN, 1972, str. 29

²⁾ Notatki Dokumentacyjne IKWN, 1973, str. 62-63

³⁾ Tamże, str. 62-63

⁴⁾ „Poradnik roszarnika” Wyd. Przemysłu Lekkiego i Spożywczego, 1965, str. 113.

⁵⁾ Zeszyty Informacyjne IKWN, str. 6



Zdjęcia: S. ZUBCZEWSKI

NARZĘDZIA KIEROWANIA I STRUKTURA WOG

JAN MUIŻEL

ARTYKUŁ DISKUSYJNY

WARTYKULE „Jednostki inicjujące — problemy motywacji” (Z.G. nr 5/75) uściłowalem podając niektóre problemy systemu stymulacji, przede wszystkim materialnej, w nowym ekonomicznym mechanizmie naszej gospodarki. Opracowanie niniejsze stanowi kontynuację poprzedniego artykułu w dwójnym sensie.

Po pierwsze, pod względem merytorycznym Tezy dotyczące rozwiązań motywacyjnych — siły napędowe mechanizmu — w znacznej mierze stały się punktem wyjścia przy wyborze dalszych tematów analizy i wypracowywaniu w jej toku stanowisk i wniosków.

Po drugie, podobnie jak w artykule o stymulacji, celem obecnego opracowania jest naświetlenie istotnych, zdaniem autora problemów, tym razem w dziedzinie narzędzi centralnego kierowania i podmiotowej struktury WOG, z pozycji teorii funkcjonowania gospodarki socjalistycznej. Uznając opracowanie koncepcji reformy systemu funkcjonowania i powstanie jednostek inicjujących za jedno z najcenniejszych i najdonioślejszych wydarzeń w naszej myśli i praktyce ekonomicznej lat siedemdziesiątych, dostrzegam w założeniach reformy i konkretnych zasadach działania WOG, także w obu powyższych dziedzinach, szereg kwestii otwartych, które wymagają koncentracji badawczego wysiłku i doskonalenia. Opracowanie poświęcone tego rodzaju kwestiom wydaje się więc potrzebne z punktu widzenia programowania badań nad jednym z problemów węzłowych — systemem planowania i zarządzania gospodarką narodową. Mam również nadzieję, że może okazać się ono pomocne przy wytyczeniu kierunków doskonalenia mechanizmu w okresie wieloletnim, do końca lat siedemdziesiątych i później.

1.

Rozpoznanie i zastosowanie właściwych narzędzi realizacji centralnych planów, spinających system centralnego planowania z systemem funkcjonowania organizacji, stanowi w nowym mechanizmie problem o wyjątkowej wadze i aktualności. Na sesji Instytutu Planowania i Instytutu Finansów we wrześniu br., poświęconej ekonomiczno-finance-mu systemowi jednostek inicjujących skupiał on uwagę większości referentów i uczestników dyskusji. Wraz z wdrażaniem nowego mechanizmu i gromadzeniem się doświadczeń jednostek inicjujących, różne aspekty tego wielowarstwowego problemu stawały się w sposób naturalny przedmiotem rosnącego zainteresowania ekonomicznej nauki i praktyki. Mimo to szereg występujących tu kwestii pozostaje rozpoznanych w sposób wyraźnie niepełny, przy czym odnosi się to i do teorii, i zwłaszcza do ujęć aplikacyjnych, trybowych.

Swoje uwagi rozpocznę od tezy o pewnej ograniczoności pośrednich narzędzi realizacji centralnych planów. Występuje ona najwyraźniej w stosunku do normatywów dochodowych, np. normatywu R, U lub N w jednostkach inicjujących, gdzie stanowi następstwo co najmniej dwóch przyczyn. Po pierwsze, normatywy dochodowe w zasadzie nie działają selektywnie, a zatem nie nadają się do realizacji większości centralnych ustaleń i proporcji alokacyjnych (realnych) o charakterze strukturalnym (co, ile i jak produkować, komu sprzedawać, od kogo kupować itp.). Po drugie, w związku z zależnościami systemu miernikowo-bodźcowego obiektywną zasadą pozostaje dążenie do normatywów ustalonych w czasie, lub też zmieniających się, ale według programu ustalonego z dużym wyprzedzeniem, jak również maksymalnie ogólnych, a nie zindywidualizowanych. Warto dodać, że stabilność i ogólnost normatywów wiążą się ze sobą ściśle, gdyż w większości zależą od tych samych czynników powodujących one dalsze ograniczenie selektywności normatywów i usztywniając ich działanie. Analogiczne ograniczenia cechują podatek dochodowy, z tym uzupełnieniem, że w przypadku stawek progresywnych może on dotkliwie osłabiać materialną stymulację. W jednostkach inicjujących obserwujemy to na przykładzie opodatkowania funduszu premiowego kadry kierowniczej.

W porównaniu z normatywami i podatkami dochodowymi grupę na-

rzędzi o szerszym polu działania i większej skuteczności stanowią ceny i inne do cen zbliżone parametry, takie jak stopy oprocentowania majątku i funduszu plac, kursy (przeliczniki) walutowe oraz podatki i dotacje obrotowe. Nie oznacza to jednak, że pole i skuteczność tej grupy narzędzi są nieograniczone, gdyż: (1) w stosowaniu cen i parametrów zbliżonych występują bariery informacyjne i metodologiczne, spowodowane zarówno ilością, złożonością i zmiennością działających tu zależności, jak i słabym ich rozpoznaniem; (2) niejednokrotnie wrażliwość organizacji na zmiany parametrów jest niewielka; (3) zmiany parametrów wywierają określony wpływ na wyniki finansowe organizacji, czyli na produkcję dodaną i na zysk. Tzw. dochodowa (nie zaś substytucyjna) część tego wpływu jest niezależna od efektywności organizacji i dlatego na ogół powinna być wyłączana z jej wyników finansowych. W przeciwnym razie związek pomiędzy kształtowaniem się wyników finansowych i efektywności zostaje osłabiony lub zerwany, a do głosu dochodzi antyefektywne sprężenie „im lepiej dla gospodarki narodowej i społeczeństwa, tym gorzej dla przedsiębiorstwa” i odwrotnie. Otóż ograniczenie polega tutaj na tym, że metodologiczna i rachunkowa złożoność wyłączenia dochodowych efektów zmian parametrów staje się częste. W przypadku podatków i dotacji obrotowych do wymienionych ograniczeń dochodzi dalsze — poza wyjątkami — wadliwe z punktu widzenia nakierowywania organizacji odrywanie poziomu cen dla producentów od poziomu cen dla użytkowników oraz — w przypadku formy procentowej — zniekształcanie cenowych relacji na jednym z tych biegunów.

Powyższe rozumowanie wydaje się uzasadniać dość istotne wnioski. Po pierwsze, ograniczenia i ułomności podatków dochodowych i obrotowych (dotacji obrotowych) podnoszą atrakcyjność tych finansowych systemów organizacji, które mogłybyśmy określić jako fundusowe, nie zaś podatkowe. W systemach fundusowych dla oceny organizacji i kształtowania się jej sytuacji dochodowej miarodajny jest nie poziom, lecz dynamika wyników finansowych, co — wraz z systemem kredytów bankowych — może zwalniać od potrzeby posługiwania się kontrolerskimi rodzajami opodatkowania. W jednostkach inicjujących typowym rozwiązaniem fundusowym są oczywiście zasady tworzenia dyspozycyjnego funduszu plac. Po drugie, narzędzia pośrednie z cenami włącznie mogą stanowić skuteczny instrument realizacji założonych w planie zagregowanych standardów równowagi, ale nie stanów i przeobrażeń w przedmiotowej i podmiotowej strukturze produkcji i zużycia. Poza zasięgiem ich efektywnego stosowania pozostają więc bardziej szczegółowe alokacyjne decyzje planu dotyczące zarówno gospodarki eksploatacyjnej (krótkookresowej), jak i rozwojowej (długookresowej).

2.

Jeżeli zarysowane tu wnioski są nie jest poprawne, to realizacja strukturalnych decyzji planu musiałaby bazować także i w nowym mechanizmie na narzędziach bezpośrednich, wśród których zindywidualizowane dyrektywy alokacyjne zajęłyby główne miejsce. Ale konkluzja ta zamiast zamykać, otwiera problem. Zindywidualizowane dyrektywy w formie kwotowych zadań i limitów wchodzą w konflikt ze sformalizowanym miernikowo-bodźcowym systemem organizacji, tzn. z systemem, w którym ocena i regulowanie dochodów organizacji następuje na podstawie apriorycznie ustalonych formuł. System ten, będący czynnikiem mikroekonomicznej racjonalizacji inicjatyw i decyzji stanowi, jak wiadomo, zasadniczy element koncepcji nowego mechanizmu. Jeżeli zindywidualizowane dyrektywy alokacyjne zostają połączone ze sformalizowanym systemem miernikowo-

bodźcowym, to ulega podważeniu społeczna efektywność obu członów: i dyrektyw, i sformalizowanej stymulacji. Historia zarządzania organizacjami gospodarczymi w Polsce i innych krajach socjalistycznych obfituje w nieudane próby godzenia obu tych elementów. Zawarta w nim sprzeczność stanowi prawdopodobnie jeden z najtrudniejszych problemów, którego nie mógł uniknąć modernizowany mechanizm również w naszym kraju. Jakże jest z tego wyście? Myślę, że obecny stan naszej wiedzy i doświadczeń nie jest jeszcze wystarczający, by dać na to pytanie pełną odpowiedź i dlatego rozwijanie wokół niego studiów i dyskusji staje się w nauce o funkcjonowaniu zadaniem pierwszoplanowym. Tym niemniej już dziś pewne kierunki rozwiązań wydają się być uzasadnione. Zaliczyłbym do nich:

1) Rozumne ograniczanie decyzji alokacyjnych w centralnym planie. Narzędzia pośrednie, których rozbudowa stanowi podstawową właściwość nowego mechanizmu, mają to do siebie, że nie tylko tworzą alternatywne sposoby realizacji ustaleń centralnych planów bez uciekania się do zindywidualizowanych dyrektyw alokacyjnych. Jeżeli zostają ukształtowane w sposób społecznie racjonalny, umożliwiają uwolnienie centralnego planu od wielu decyzji alokacyjnych, głównie bieżących i bardziej szczegółowych, które tym razem mogą być poddane centralnie kontrolowanej samoregulacji. Oczywiście, nie dotyczy to wytyczania głównych kierunków ewolucji przedmiotowej struktury produkcji w okresach wieloletnich, lub innych procesów, np. ochrony środowiska naturalnego, w których kontrolowana samoregulacja nie może zapewnić osiągnięcia ważnych celów społeczno-gospodarczych.

2) Aktywizacja niedyrektywnych narzędzi bezpośrednich. W narzędziach tych, których istotą stanowi przepływ planistycznych informacji, ich inspirujące i nakierowujące oddziaływanie na organizację, tkwią, jak się wydaje, poważne rezerwy niedyrektywnego sterowania centralnego.

3) Doskonalenie form dyrektyw alokacyjnych. Chodzi o wypracowanie takich form, które zapewniając realizację decyzji planu, pozwalają równocześnie wykorzystywać mikroekonomiczny rachunek i inicjatywy. W przypadku centralnych decyzji dotyczących kierunków rozwoju przedmiotowych i podmiotowych struktur produkcji, a także współpracy z gospodarką światową, formę szczególnie interesującą wydaje się stanowić system centralnych akceptacji zgłaszanych przez organizacje inicjatyw i projektów. Wstępnym warunkiem tego rozwiązania, podobnie jak i aktywizacji niedyrektywnych narzędzi bezpośrednich, pozostaje jednak zapewnienie zasadniczej zgodności rachunku i interesów na obu szczeblach decyzyjnych.

3.

Podstawową przesłanką rozwiązań strukturalnych w jednostkach inicjujących niewątpliwie pozostawała teza o potrzebie rozszerzenia autonomii organizacji gospodarczych. Jej logicznym dopełnieniem była przebudowa systemu miernikowo-bodźcowego w kierunku jego obiektywizacji i formalizacji, co pozwalało na rozwinięcie pośrednich narzędzi sterowania centralnego i z kolei — dzięki tym ostatnim — na uruchomienie mechanizmu wieloszczeblowych zharmonizowanych decyzji alokacyjnych. Powstała szansa połączenia w zgodną całość elementów pozornie wykluczających się: szerokiej autonomii gospodarczych organizacji i silnego planowania centralnego, a więc walorów decentralizacji z korzyściami centralizacji.

Na marginesie tej powszechnie znanej koncepcji wyścielowej chciałbym poczynić dwie uwagi. Po pierwsze, mechanizm dwuszczeblowych decyzji nie może być stosowany powszechnie, mianowicie — nie mogą nim być objęte, co już podnosiłem,

bardziej szczegółowe decyzje, dotyczące przedmiotowej i podmiotowej rozmieszczenia zasobów i produkcji. Jeżeli więc decyzje te są nadal podejmowane w centralnym planie, to licznych alokacyjnych dyrektyw nie daje się uniknąć. Wtedy jednak zostaje zagrożona spójność całego tak pomyślanego mechanizmu „mieszanego”. Wolno sądzić, że właśnie tego typu problem ujawnił się w funkcjonowaniu jednostek inicjujących. Po drugie, w ścisłym związku z powyższym chciałbym w pewnej mierze zakwestionować popularną tezę, że w centralnym sterowaniu bieżącą i rozwojową działalnością organizacji można i należy wykorzystywać z gruntu odmienne instrumenty: w przypadku pierwszym — pośrednie, drugim — bezpośrednie, głównie o charakterze dyrektywnym. Ta skądinąd zachęcająca koncepcja nie docenia faktu, że w gospodarce przedsiębiorstwa i w sterowaniu tą gospodarką działalność bieżąca i rozwojowa tworzą nierozdzielalną całość. Zamiast łatwych, lecz niestety uproszczonych formuł bardziej celowa wydaje się w tej sytuacji zasada, iż każdy z wprowadzanych do praktyki instrumentów sterowania powinien być gruntownie przemyślany i oceniany całościowo, tzn. z punktu widzenia wszystkich istotnych zależności nowego mechanizmu.

Organizacyjna struktura obecných jednostek inicjujących w zasadzie powszechnie została oparta na WOG, jako wielozakładowych przedsiębiorstwach podstawowych. Istnieje dążenie, aby rozwiązanie to zastosować w całym przemyśle i innych gałęziach gospodarki narodowej. Charakterystyczne jest ono tym, że wysoko skoncentrowana, wielozakładowa organizacja, nazwana WOG: 1) zostaje wyposażona w cechy przedsiębiorstwa, 2) jest bezpośrednio nadzorowana przez organy rządowe, 3) ma pozycję jednostki nadrzędnej (zwierzchniej) w stosunku do zgromadzonych w niej organizacji wewnętrznych, tzn. zakładów, które również mogą być wyposażone w cechy przedsiębiorstwa, stając się wtedy tzw. przedsiębiorstwami wewnętrznymi. Rozszerzanie mikroekonomicznej autonomii w dziedzinie alokacyjnej lub innych odnosi się więc przede wszystkim do organizacji wysokiego, wielozakładowego szczebla. Koncentracja organizacji wewnętrznych w WOG może być i bywa różna, z tym jednak, że dotyczy to nie tyle jej zakresu — ten jest poza wyjątkami bardzo duży — ile kryterium. Kryterium koncentracji pozostaje bądź to podobieństwo zużywanego surowca, metod produkcji i produktu (koncentracja pozioma), bądź też związki kooperacyjne (koncentracja pionowa). Wśród WOG już działających oraz planowanych zdecydowanie dominuje koncentracja pozioma, a organizacje budowane według kryterium związków kooperacyjnych należą do rzadkości.

Przyjęte w nowym mechanizmie zasady organizacyjne uzasadnia się rosnącymi nieustannie korzyściami dużej skali oraz potrzebami rozpiętości kierownictwa. Z kolei empiryczne potwierdzenie ich słuszności dostrzega się w silnych tendencjach do koncentracji, jakie współcześnie można obserwować w gospodarce światowej na Wschodzie i Zachodzie. Solidaryzując się generalnie z powyższym stanowiskiem, pragnąłbym w związku z niektórymi jego aspektami zgłosić jednak pewne uwagi, częściowo zaś wątpliwości.

Sądzę więc, że można żywić zastrzeżenia co do przytłaczającej dominacji WOG budowanych na zasadzie poziomej koncentracji zakładów. W niektórych branżach poziom skoncentrowane WOG pozwalają na istotną racjonalizację rozmieszczenia produkcji, działalności badawczo-rozwojowej, lub faz produkcyjnych i wtedy celowość ich istnienia może być niesporna. Wszelako stosunkowo częściej korzyści koncentracji wielozakładowej wydają się występować w układach pionowych, ponieważ tam stwarza ona warunki dla bezpośredniej koordynacji złożonych procesów kooperacyjnych w okresach krótkich i tym

bardziej w działalności długookresowej.

Do bardziej istotnych zaliczałbym jednak wątpliwości rodzące się pod adresem powszechności WOG jako przedsiębiorstw podstawowych. Nie wolno ignorować doniosłego faktu, że w kształtowaniu się podmiotowych struktur współczesnej gospodarki mamy do czynienia z działaniem nie tylko sił zwarstwiających, ale i rozwarstwiających. I bynajmniej nie jest przesądzone, iż we wszystkich bez wyjątku branżach i grupach produkcji bilans tych sił jednoznacznie przemawia za strukturami opartymi na wielozakładowych WOG. Trzeba zatem dopuścić, że w szeregu przypadków optymalne rozwiązanie strukturalne może wymagać zlokalizowania roli przedsiębiorstwa podstawowego nie na szczeblu poziomej lub pionowej organizacji wielozakładowej, lecz organizacji jednozakładowej lub skupiającej niewielką ilość ściśle ze sobą powiązanych zakładów. Działanie organizacji typu WOG byłoby w takich sytuacjach nie tylko zbędne, ale i niepożądane.

W związku z powyższym warto zastanowić się nad postulatem, aby tworzenie WOG było poprzedzane, w każdym przypadku poważną analizą społecznej zasadności tego rodzaju organizacji. Warto też gruntownie zbadać i przedyskutować popularne tezy o potrzebie podporządkowania podmiotowych struktur przemysłu zasadzie tzw. pełnego cyklu produkcyjnego oraz tworzenia wielozakładowych i produktowo zróżnicowanych organizacji gospodarczych, zdolnych do stawiania czoła skutkom szybko zmieniających się koniunktur na rynkach zagranicznych. Obie tezy są traktowane jako aktualnie ważne, konkretne argumenty na rzecz wysokiego stopnia koncentracji i centralizacji w większości czy — nawet we wszystkich branżach przemysłowych. Osobiście byłbym przeciwny wszelkiej generalizacji tych argumentów. Staje się to tym bardziej uzasadnione, jeżeli owe argumenty zaczynamy rozważać na tle warietowości innych elementów mechanizmu. Mam tu na myśli alternatywność typów systemu finansowego organizacji (np. typ podatkowy albo fundusowy) i sposobów wiązania plac załogi z wynikami finansowymi organizacji, jak również tworzenia przez organy rządowe i same podstawowe przedsiębiorstwa różnych organizacji wyspecjalizowanych (np. w fazie przedprodukcyjnej lub poprodukcyjnej), tzw. związków celowych, którym w razie potrzeby może być nadany status wewnętrznego, a nawet podstawowego przedsiębiorstwa lub organizacji użyteczności. Ta ostatnia, podobnie jak przedsiębiorstwo, jest jednostką ekonomicznie wyodrębnioną, różni się jednak od przedsiębiorstwa tym, iż maksymalizacja finansowego wyniku, niezależnie od jego formy i sposobu liczenia, nie stanowi kryterium jej działania.

4.

W grupie problemów strukturalnych chciałbym jeszcze zatrzymać się nad uprawnieniami przedsiębiorstw podstawowych, w tym WOG, do kształtowania ich stosunków wewnętrznych. O ile bezpośrednie regulowanie przez organy rządowe głównych członów podmiotowej struktury gospodarki narodowej, przede wszystkim zbioru przedsiębiorstw podstawowych oraz koncentracji zakładów (działalności) w ich obrębie, można uznać za niewątpliwą, o tyle jego wydłużanie na wewnętrzne stosunki przedsiębiorstwa jest, jak sądzę, sprawą otwartą. W jednostkach inicjujących ingerencja ta jest formalnie głęboka. Co ją jednak uzasadnia? Troska o mikroekonomiczną efektywność całego wielozakładowego tworów, jakim jest WOG? Chyba nie, skoro właśnie WOG dzięki cechom przedsiębiorstwa ma być głównym nośnikiem mikroekonomicznej racjonalności we wszystkich sferach swojej gospodarki, a zatem także w organizacyjnej. Może więc potrzeba zapewnienia efektywności społecznej, która na

tym polu wchodzi w konflikt z reprezentowaną przez WOG efektywnością jednostkową? Istotnie, można liczyć się z dążeniem kierownictwa WOG do traktowania swoich organizacji wewnętrznych w sposób wysoko centralistyczny i dyrektywny, aby na tej drodze umacniać monopolistyczne pozycje względnie wyodrębnionego układu i czerpać wpływające stąd korzyści wbrew efektywności społecznej. Siła argumentu polega jednak na tym, że centralna ingerencja stanowi tu czynnik przeciwstawiający się całej pozycji WOG jako przedsiębiorstwa podstawowego i organizacji zwierzchniej wobec zgromadzonych zakładów, przedsiębiorstw wewnętrznych i ich kadry kierowniczej. Można zatem żywić obawy, że skuteczność ingerencji ograniczy się do strony formalnej, powodując rozbieżność pomiędzy założeniami i rozwiązaniem formalnym a rzeczywistością.

Odrębnym aspektem stosunków wewnętrznych w organizacjach gospodarczych jest rola różnego rodzaju form współzestępnictwa zespołów pracowniczych w kierowaniu organizacjami, czyli szeroko pojmowanego samorządu robotniczego. Jestem zdania, że zagadnieniem centralnym pozostaje obecnie w naszym życiu gospodarczym i społecznym tzw. partycypacja bezpośrednia, która występuje na szczeblu najniższym, operacyjnym i polega na osobistym uczestnictwie każdego pracownika w kierowaniu procesem pracy. Najprawdopodobniej stanowi ona jeden z kluczowych elementów procesu tzw. wzbogacania (humanizacji) pracy, czyli w naszych ujęciach stosunków — nasycania jej cechami pracy komunistycznej. Fakt ten bynajmniej nie przekreśla znaczenia samorządu pośredniego, w warunkach polskich — Rad Robotniczych i Konfederacji Samorządu Robotniczego. Formy bezpośrednie i pośrednie uzupełniają się i wspierają wzajemnie. Więcej nawet, można chyba powiedzieć, iż w planowej gospodarce ambicje pomyślane i pulsujące życiem samorząd pośredni staje się jednym z warunków pomyślnego rozwoju partycypacji bezpośredniej. W założeniach nowego mechanizmu i jednostkach inicjujących pozycja i funkcje samorządu pośredniego nie są jednak jasne co jak sądzę, wymaga koncentracji uwagi i odpowiednich uzupełnień. Trzeba przy tym dodać, że samorząd pośredni jest tym elementem stosunków wewnętrznych i organizacyjnych, którego ukształtowanie w sposób społecznie racjonalny jest możliwe tylko na drodze dyrektywnej regulacji centralnej, przyjmującej postać norm prawnych i skutecznego systemu ich realizacji. Bowiemy w grę wchodzi tu potrzeba i cele społeczne, w zasadzie nieprzekładalne na język mikroekonomicznych kryteriów i warunków wyboru.

Pragnąłbym podkreślić, że formułowane w tym opracowaniu tezy strukturalne wydają się korespondować ze stanowiskami prezentowanymi przez doc. Szymona Jakubowicza w jego referacie na Sesji w Instytucie Planowania we wrześniu ub. r., a także w jego innych pracach. W sektorze organizacji gospodarczych należy dopuszczać znaczną różnorodność przedsiębiorstw podstawowych pod względem zakresu koncentracji zakładów oraz struktury i stosunków wewnętrznych. Właśnie w tej dziedzinie jedna z czołowych idei naszej koncepcji — konkretnego branżowego podejścia i zróżnicowanych rozwiązań — może i powinna znaleźć konsekwentne zastosowanie. Wniosek ten stanie się jeszcze bardziej zasadny, jeżeli do rozważań włączymy ważny, a dotąd słabo opracowany problem roli i zasad działania przedsiębiorstw międzynarodowych. Być może również, iż w związku z różnorodnością podmiotowych struktur w sektorze organizacji gospodarczych należałoby przewidzieć harmonizujące z nimi alternatywne rozwiązania strukturalne w organach centralnych bezpośredniego nadzorujących przedsiębiorstwa podstawowe, tzn. w ministerstwach galezyowych.

JAPONIA W WALCE Z KRYZYSEM

ANDRZEJ JARUZELSKI

PRZEZ OSTATNIE 25 LAT tempo wzrostu dochodu narodowego Japonii wynosiło 9 proc. rocznie. W ubiegłym roku po raz pierwszy nastąpił spadek absolutny — o przeszło 2 proc. Rok bieżący przyniesie ma umiarkowane tempo wzrostu w granicach 4–5 proc. Czy dramatyczne wydarzenia ostatnich dwu lat na światowych rynkach oznaczają zdecydowany koniec ery szybkiej ekspansji gospodarczej opartej na bardzo tanich surowcach?

Japonia, skazana na przywóz wszystkiego, od żywności począwszy (tylko 25 proc. powierzchni nadaje się pod uprawę), poprzez podstawowe surowce dla przemysłu, by żyć musi importować. 80 procent produkowanej w tym kraju energii pochodzi z importowanego paliwa. Przy dochodzie narodowym zbliżonym do dochodu RFN — Japonia importowała w 1973 r. 287 milionów ton ropy, czyli 99,6 proc. zużycia, podczas gdy Republika Federalna tylko 150 mln ton. Wskazuje to jaki skutek dla japońskiej gospodarki musiał mieć 4-krotny wzrost ceny samej tylko ropy naftowej, nie mówiąc o innych surowcach. To co dla innych krajów było wielkim obciążeniem, dla Japonii mogło być druzgocącym ciosem.

TRZECIE MOCARSTWO

Za import płaci się eksportem. Te czynniki ukształtowały w dobie powojennej ekspansji charakter japońskiej gospodarki poszukującej nieustannie rynków zbytu. Wartość produkcji przemysłowej Japonii wzrosła w ciągu ostatnich 20 lat z 16 miliardów dolarów do przeszło 300 miliardów w roku 1973, a więc niemal 20-krotnie. Obecny potencjał gospodarczy Japonii odpowiada więc połączonego potencjałowi przemysłów Wielkiej Brytanii i Francji. Dochód narodowy na 1 mieszkańca wzrósł w tym okresie z ok. 150 dolarów w początku lat pięćdziesiątych do 5250 dolarów w roku ubiegłym wobec 6670 w USA i 3750 w Anglii. Obroty z zagranicą przekroczyły w ub. roku po raz pierwszy poziom 100 mld dolarów.

Polityka szybkiego rozwoju oparta na relatywnie taniej sile roboczej, przy forsowaniu eksportu, przekształciła Japonię w trzecią potęgę gospodarczą na świecie. W przeciwieństwie do USA i ZSRR, potęga ta nie opiera się jednak na własnych zasobach. Efekty kryzysu paliwowego były więc niezwykłe i wysoce niepokojące. Z 4,7 mld nadwyżki w bilansie obrotów towarowych z zagranicą w 1972 r., Japonia popadła w 1973 r. w 10-miliardowy deficyt, który zmniejszył się w ub. roku do 7 miliardów. Kształtuje się więc na poziomie Francji, jest zaś mniejszy niż Włoch czy W. Brytania, co wskazuje na skuteczność podejmowanych przez Japonię środków. Spadły równocześnie rezerwy dewiz i złota — z przeszło 20 mld dolarów w lutym

1973 do 11 mld w analogicznym okresie roku ubiegłego, by ponownie ulec poprawie do 14 mld z początkiem roku bieżącego. Równocześnie krótko i średnioterminowe zadłużenie Japonii w ciągu minionego roku uległo podwojeniu przekraczając 16 mld dolarów. Zaciągając drogie kredyty, głównie na euromarkcie Japonia zdołała, choć wysokim kosztem, uzyskać środki na opłacenie importu w pierwszej fazie kryzysu paliwowego.

W kolejnej fazie przezwyciężania trudności płatniczych nastąpiła spogotowana ekspansja eksportowa na rynki USA i Europy zachodniej — mająca przynieść środki na zakup surowców. W trudnej sytuacji i tu osiągnięto powodzenia. Nadwyżka Japonii w handlu z krajami EWG wyniosła już w ub. roku blisko 3 mld dolarów i z USA 1,5 mld. W tej niesychanie zażartej konkurencji o rynki Japonii udało się np. zepchnąć RFN z czołowego miejsca na liście eksporterów samochodowych. Choć więc globalna produkcja samochodów w Japonii spadła o 13 proc. — eksport wzrósł o 26 proc. Rekompensuje to częściowo spadek produkcji stoczni.

Na rynku wewnętrznym (1973/4) nastąpił jednak szybki wzrost cen (detalicznych o 35 proc.), co wywołało żądania podwyżek płac. Towarzy-szyło temu gromadzenie się zapasów jednych wyrobów przy braku innych, niedobór surowców i gotówki. Tych zakłóceń nie dało się uniknąć. Po sukcesie posunięć doraźnych zaistniała potrzeba działań bardziej długofalowych i zmiany dotychczasowej strategii rozwoju gospodarczego.

NOWA STRATEGIA ROZWOJU

Kryzys surowcowy drastycznie zmniejszył różnicę między potęgą gospodarczą ZSRR czy USA a Japonią, którą łatwo sparaliżować, odcinając choćby dopływ paliw. Podstawowym założeniem nowej polityki gospodarczej Japonii jest więc rozszerzenie i pogłębienie współpracy gospodarczej z krajami bogatymi w surowce, tradycyjna bowiem orientacja na wymianę towarową z USA okazała się niewystarczająca. Rozluźniając zdecydowanie dotychczasowe powiązania — Japonia rozwija swą ekspansję inaczej. Po przejściowym ograniczeniu eksportu kapitałów obecnie dąży się znów do dalszego zwiększenia udziału firm japońskich w zagranicznych inwestycjach. Finansowane częściowo ze środków własnych, częściowo z kredytów, ułatwiają wejście na nowe rynki. W roku ubiegłym inwestycje zagraniczne wzrosły o 50 proc. i wyniosły już ponad 10 mld dolarów.

Czwartą część tej sumy zainwestowano w bogatych w surowce krajach Azji, ponad 2 mld dolarów w USA i niewiele mniej w Europie zachodniej. Na czwartej pozycji znajduje się Ameryka Łacińska, gdzie

główne nakłady skoncentrowane są w Brazylii. Japonia bierze udział w eksploatacji bogactw wschodniej Syberii i Sachalinu, buduje huty aluminium i elektrownie na Sumatrze, stalownie w Iranie, rozbudowuje porty i transport Brazylii, uczestniczy w poszukiwaniach geologicznych w Australii.

CZY TEMPO JEST DO UTRZYMANIA?

Gdyby tempo wzrostu gospodarki japońskiej sprzed kryzysu miało się dalej utrzymywać, za lat 10 Japonia zużywałaby 85 proc. światowego wydobycia ropy, 50 proc. rudy żelaza, całość miedzi, niklu itd. Jasne więc, że wzrost musi być zahamowany. Rozpędzona machina japońskiej gospodarki musi więc zwolnić obroty, czy może też po kryzysie znów wszystko wróci do normy?

Odpowiedź na to pytanie nie jest jednoznaczna. Bezrobocie osiągnęło w Japonii nie notowany od lat poziom przeszło miliona osób, oznacza to jednak, że zaledwie 1,9 proc. ogólnej liczby zatrudnionych, podczas gdy w USA 8,2 proc., a w innych krajach niewiele mniej pozostaje bez pracy. Taki wskaźnik dla innych, wysoko uprzemysłowionych krajów uważany jest za bardzo niski.

Stawianie prognoz co do dalszego rozwoju gospodarki Japonii jest zatem ryzykowne. Japończycy sami uważają, że dotychczasowe tempo rozwoju z różnych względów musi ulec zahamowaniu. Prezes Komisji Planowania (Economic Planning Agency) I. Miazaki stwierdził, że pierwszą rundę Japonii udało się wygrać. Jednak całkowite opanowanie sytuacji wymagać będzie jeszcze około roku. Dobrze świadczyłoby to o sile i zdolnościach przystosowawczych japońskiej ekonomiki w porównaniu z wysoko rozwiniętymi krajami Europy zachodniej i USA.

ENERGETYKA I PRZEMYSŁ

Ekonomiści japońscy doszli do wniosku, że stawianie w perspektywie na energetykę klasyczną (obecnie 75 proc. energii z ropy) jest nieopłacalne. Plany energetyki są więc rewidowane na korzyść elektrowni korzystających z paliwa atomowego. Jak podaje Ministerstwo Przemysłu i Handlu, do roku 1985 udział mocy zainstalowanych w elektrowniach atomowych pokryje 25 proc. ogólnej zużycia energii elektrycznej. Oznacza to, że słowne atomowe już w najbliższych latach dostarczać będą więcej energii niż hydroelektrownie. Program ten obejmuje 17 elektrowni będących już w budowie i dalszych 80, których budowa będzie rozpoczęta w najbliższym czasie.

Przewidywany przez japońskich ekspertów na rok 1980 koszt produkcji energii z urządzeń klasycznych opalanych mazutem i jądrowych zakłada, że już za 5 lat energia z elek-

rowni jądrowych będzie tańsza o 40–50 proc. od uzyskiwanej z elektrowni klasycznych. Jeszcze korzystniejszy jest import paliw atomowych w porównaniu z klasycznymi. Zakup wzbogacanego uranu, toru czy plutonu na pokrycie rosnącego zapotrzebowania Japonii na energię, wymagać będzie tylko siódmej części tych pieniędzy, które trzeba by wydać dla tej samej ilości energii z ropy naftowej.

W reaktorach nowych elektrowni zastosuje się inne rozwiązania techniczne niż w eksploatowanych obecnie w Japonii urządzeniach amerykańskich firm Westinghouse i General Electric. Japońscy eksperci przewidują wprowadzenie reaktorów pracujących w wysokiej temperaturze i chłodzonych gazem, a nie wodą jak dotychczas. Ten typ reaktora jest bezpieczniejszy i daje także możliwość bezpośredniego wykorzystania ciepła reaktora np. do wytopu stali, procesów syntezy chemicznej itd.

Na profil produkcji japońskiego przemysłu decydujący wpływ wywiera konieczność oszczędniejszego gospodarowania energią i surowcami. Generalną tendencją jest więc przechodzenie z produkcji energo- i materiałochłonnej na wyspecjalizowaną, pracochłonną. W przywracaniu zachwianej równowagi w bilansie obrotów towarowych z zagranicą największe sukcesy odniósł przemysł stalowy, który dał w 1973 przeszło 120 mln ton stali, z czego 30 mln ton wyeksportowano. Przy blisko 3-krotnym wzroście cen pewnych gatunków stali, dało to podwojenie wpływów w ciągu roku.

Dziedzina, która podejmuje duże inwestycje (wzrost w ub. roku o 35 proc.) przygotowując się do współpracy z krajami Bliskiego Wschodu jest przemysł chemiczny. Szczególnie szybko rozbudowuje się zdolności wytwórcze przemysłów syntezy organicznej i nieorganicznej zmieniając (nawozy sztuczne) technologię pod kątem zagospodarowywania

innych surowców niż ropa lub oszczędniejszego jej zużycia.

CZY DALSZY CIĄG CUDU?

Umiejętność przezwyciężania trudności w skali znacznie większej niż w innych krajach kapitalistycznych, wyższa sprawność funkcjonowania ekonomicznych mechanizmów, pozwalają na przewidywanie nadal znacznej dynamiki rozwoju japońskiej gospodarki.

Sądząc, że powtórzenie się „cudu gospodarczego” w zmienionych już warunkach na światowych rynkach ma duże szanse realizacji. Elastyczność i zdolność do reorientacji wykażała Japonia w ostatnich 2 latach. Arseniał środków jakimi Japonia dysponuje jest znacznie szerszy. Ich umiejętne użycie jest w stanie zapewnić Japończykom sukces także w nowych warunkach.

Japonia dysponuje obecnie najliczniejszą w świecie kapitalistycznym, doskonale wyszkoloną kadrą robotników, którym przychodzi w w sukurs kadra inżynieryjno-techniczna nie tylko bardzo liczna, ale mająca także umiejętności skutecznego wdrażania nowoczesnych technologii własnych i obcych. Jeżeli do tego dodać, że przeszło 60 proc. urzędów w japońskim przemysle ma mniej niż 5 lat, podczas gdy np. w przemysle USA 65 proc. urzędów ma więcej niż 10 lat, to zrozumiałe staną się rezerwy dynamiki wzrostu jakie w tym kraju jeszcze drzemają.

Doświadczenie Japończyków w sferze organizacji i efektywnego zarządzania wynika z dotychczasowego tempa rozwoju, które narzucało ekspansywność i operatywność nie znaną w innych krajach. Te cechy wraz ze świadomością realizowaną przez rząd japońską polityką „dobijania” słabszych przedsiębiorstw, szybkości niż nastąpiłoby to w wyniku działania mechanizmów rynkowych — zamiast ich ratowania, jak np. ma to miejsce w Anglii — prowadzi do

szybszego kształtowania wysoce efektywnych struktur gospodarczych. Po każdym okresie spadku produkcji, których było już w Japonii kilka, gospodarka wchodzi w nową falę ekspansji.

Nie wydaje się, aby problemy ciastoty, zanieczyszczenia otoczenia, brak surowców itd. stanowiły istotną przeszkodę przy nowej strategii, jaką zastosowano w nowych warunkach. Japonia wydaje się wyraźnie zdążyć ku przeniesieniu tradycyjnych przemysłów na teren innych krajów, bliżej źródeł surowców. Myśli się o systemach automatyzacji fabryk, syntetycznych materiałach, bezzalugowych statkach i portach przeladunkowych. O tym wszystkim co w niedalekiej przyszłości zrewolucjonizuje procesy wytwarzania i transportu.

Ta technologiczna bajka schyłku XX wieku zajmuje już poważne miejsce w japońskich planach na przyszłość.

Wydaje się, że opieranie się na klasycznym modelu wzrostu, prowadzące do absurdu obliczanie zużycia surowców, stosowane w odniesieniu do Japonii, nie uwzględniają zachodzących już dziś zmian, które przebiegać będą inaczej niż sobie wyobrażamy. Na podstawie tych danych sądzić można, że dalsza kontynuacja japońskiej dynamiki rozwoju jest wysoce prawdopodobna. Problem kontynuacji wysokiego tempa tkwi więc raczej w sferze psychologii — czy Japończycy będą tego chcieli — czy ekonomiki, która wydaje się być do tego zdolna.

Herman Kahn w wywiadzie dla zachodniollemieckiego tygodnika „Der Spiegel” zapytany ostatnio, co sądzi o perspektywach rozwoju japońskiej gospodarki, powiedział, iż kilka lat temu oczekiwał, że w roku 2000 Japonia przecięnie USA i będzie najbogatszym krajem kapitalistycznym. Obecnie musi to stwierdzenie zrewidować, stanie się to bowiem znacznie wcześniej — około roku 1985.



Fot. S. ZUBCZEWSKI

za granicą piszą

CZY MOŻNA WIERZYĆ EKONOMISTOM ?

Amerykańska agencja prasowa ASSOCIATED PRESS nadała artykuł analityczny Johna Cunniffa pt. „EKONOMISTS” („Ekonomiści”). W artykule tym, oceniającym prognozy ekonomistów amerykańskich, czytamy m. in.:

JUŻ OD TRZECH LAT dokładność prognoz gospodarczych jest równie zła, jak obecna sytuacja gospodarcza. Skromność z jaką traktowano prognozy na 1972 r., przekształciła się w wyraźne zakłopotanie autorów prognoz w 1973 r. i w ich poczęcie poniżenia w roku 1974. A rok 1975 znów rozpoczyna się w sytuacji kryjącej tak wiele czynników nie dających się ocenić, że grozi to ponownym niespełnieniem się prognoz.

Ekonomiści z instytucji państwowych, przedsiębiorstw, uniwersytetów, związków zawodowych itp. nie przewidzieli ciągłego wzrostu cen i stopy oprocentowania. Jeszcze latem ub. roku grupa bardzo wybitnych ekonomistów stwierdziła zgodnie, że „spadek aktywności gospodarczej właściwie już się skończył”. Sytuacja ta skłoniła niektórych eko-

nomistów do wygłaszania najrozmaitszych insynuacji na temat kompetencji ich kolegów. Co ważniejsze, słaba dokładność prognoz doprowadziła do błędów w planach spółek akcyjnych, powodując w rezultacie ogromne marnotrawstwo środków finansowych i sił ludzkich, czego ilustracją może być sytuacja w przemyśle samochodowym. I co jeszcze ważniejsze, słaba dokładność prognoz leżała u podstaw nieodpowiedniej — zdaniem wielu ludzi — polityki władz federalnych, ponieważ doradcy ekonomiczni Waszyngtonu odmawiali uznania faktu, iż rzeczywistość przekreśla przyjęte przez nich założenia.

Podsumowanie średniej prognozy członków Narodowego Stowarzyszenia Ekonomistów Przedsiębiorstw z lata ub. roku głosiło: „Nasza główna nowina... jest dobrą nowiną, a mianowicie: nie będzie żadnej recesji. Przynajmniej taki jest pogląd 68 proc. spośród nas, inne zdanie wyraziło tylko 29 proc.”. Większość ludzi, nawet nie znających się szczególnie na ekonomii, dobrze wie, że

sytuacja gospodarcza w okresie ogłoszenia tej prognozy uległa właśnie pogorszeniu i że od tego czasu aktywność gospodarcza coraz szybciej się zmniejszała.

Ale ekonomiści przedsiębiorstw nie byli osamotnieni. Komisja Doradców Gospodarczych Prezydenta sugerowała w lutym ub. roku, że w pierwszej połowie 1974 nastąpi spadek aktywności gospodarczej, a w drugiej połowie prawdopodobnie ponowne ożywienie. Scenariusz ten też się nie potwierdził.

Wharton Econometric Forecasting Associates — przedsiębiorstwo Uniwersytetu Pensylwanii — stosuje jeden z cieszących się największym prestiżem modeli matematycznych gospodarki który to model koreluje przy pomocy komputera miliardy liczb. 29 listopada 1973 r. ośrodek ten doszedł do następującego wniosku: „W związku ze spadkiem aktywności gospodarczej związanym z kryzysem naftowym stopa oprocentowania może spaść szybciej, niż to początkowo przewidywaliśmy”. Stopa oprocentowania wzrosła.

Jedno z najważniejszych towarzystw ubezpieczeniowych USA, Prudential Life Insurance Co., chlubi

się tym, że zawsze jest jedną z pierwszych instytucji ogłaszających prognozę na rok następny. Sądząc po rezultatach, towarzystwo to ma wszelkie podstawy by uważać, iż padło ofiarą swej dumy i nadmiernego pośpiechu. Główny błąd prognozy Prudentialu polegał na niedocenianiu tempa inflacji. Towarzystwo to, nauczone złym doświadczeniem, zachowało nieco większą ostrożność, gdy wystąpiło bardzo wcześnie z prognozą na 1975 r. Prognoza ta zawierała m. in. stwierdzenie: „Stopa bezrobocia nadal będzie wzrastać i jej poziom szczytowy wyniesie ok. 7 proc.”. I znowu, zanim w pełni rozprawiono tę prognozę — tj. jeszcze przed końcem 1974 — stopa bezrobocia przekroczyła już wymieniony w niej poziom.

Autorzy prognoz tradycyjnie już obwarowują się najrozmaitszymi zastrzeżeniami i dość często mówią też podwójnym językiem. W istocie niektórzy z nich twierdzą, że bez tego nie byłoby w stanie utrzymać się na powierzchni. Ekonomistów oskarża się także o to, iż tak bardzo zaangażowali się w wyrażanie grę liczb, że zapominają, iż liczący są tylko symbolem działalności ludzi, a wielu ekonomistów nie jest w stanie prze-

widywać ludzkiej działalności, nie mówiąc już o jej rozumieniu. Wiele teoretyków zwraca uwagę, że podczas gdy ekonomiści mają tendencję do koncentrowania swej uwagi wyłącznie na liczbach, wiele z założeń, jakie muszą przy tym przyjmować, zależy od ogromnego wachlarza zjawisk, takich jak pogoda, sytuacja w rolnictwie, układ spraw na arenie międzynarodowej, sytuacja polityczna, postawy ludzkie.

Mimo wszystkich krytycznych głosów tego typu, większość ekonomistów tak samo nie może powstrzymać się od zajmowania się prognozą, jak nie może się powstrzymać od zajmowania się ekonomią w ogóle. Fatalne niepowodzenia prognoz na rok 1974 były dla ekonomistów wstrząsem i prawdopodobnie znacznie zmniejszyły ich gotowość do przyjmowania założeń na temat spraw, nad którymi nie mają oni żadnej kontroli; ale tylko bardzo nieliczni wycofali się z gry. Niektórzy ekonomiści przedstawili nawet nie jedną prognozę, a więcej. Choć czytelnikowi prognoz mieni się w oczach od gwiazdek odsyłaczy formułujących najrozmaitsze zastrzeżenia, to większość ekonomistów zgodnie uważa, że w pierwszym półroczu 1975 trwać będzie ostry spadek aktywności gospodarczej, w trzecim

kwartale rozpocznie się ponowne ożywienie i rok skończy się względnie pomyślną sytuacją. Poszczególne prognozy przewidują wzrost bezrobocia aż do poziomu 10 proc., tempo inflacji rzędu 6–10 proc. i „realny” (tj. już po skorygowaniu wpływu inflacji) wzrost produktu narodowego brutto od –2,5 proc. do +3,5 proc. Tygodnik „Business Week” przeprowadził ankietę wśród niektórych bardziej znanych ekonomistów i jak stwierdził — średnio biorąc przewidują oni, że produkt narodowy brutto będzie niższy, o 1,2 proc. niż w 1974 r. ceny wzrosną o 8,7 proc., a przeciętny poziom bezrobocia wynosić będzie 7,3 proc.

Nie ulega wątpliwości że niektórzy ekonomiści uwzględniają w swych prognozach także oceny swych kolegów, nawet jeśli robią to tylko w ten sposób, że traktują je jako ogólną wskazówkę. Z tego względu wśród wielu prognoz występuje pewna tendencja do skupiania się wskaźników w pewnych określonych przedziałach. Można mieć wrażenie, że autorzy prognoz czerpią z takiej koncentracji wskaźników poczucie pewnego bezpieczeństwa. Ale właściwie żadna prognoza nie ma szans na to, by nie musiała ulec rewizji.

